PIELGRZYM POLSKI

pismo miesięczne

poświęcone nauce, belletrystyce i sprawom bieżącym.

Wydawca i redaktor: *Ks. Marceli Dziurzyński.*

Rocznik I. (Luty 1899). Zeszyt 1.

Warunki przedpłaty i adres wydawnictwa:

W Austryi kosztuje *Pielgrzym Polski* **na rok: 5** złr.; **na pół roku: 2** złr. **50** ct.; **kwartalnej** przedpłaty **nie** przyjmuje się. — **W Niemczech** rocznie: **10** marek; **półrocznie: 5** marek. — **W Ameryce** rocznie: **3** dolary. — W innych krajach **rocznie: 15** franków.

Adres:

Redakcya „Pielgrzyma Polskiego“ w Krakowie, ulica Basztowa L. 4.

Nakładem wydawnictwa „Pielgrzyma polskiego“.

Treść zeszytu 1-go (za luty 1899).

Od wydawnictwa.

Pielgrzym polski wychodzić będzie w zeszytach miesięcznych, około dnia 1-go. Cały rocznik obejmować będzie **50** arkuszy druku. Jakkolwiek tedy w roku bieżącym wyjdzie tylko jedenaście zeszytów, gdyż dopiero w lutym mogliśmy rozpocząć wydawnictwo, mimo to Szan. Czytelnicy nic na tem nie stracą, gdyż zeszyty tegoroczne mieć będą nieco większą objętość, mianowicie taką, aby z końcem roku było w nich 50 arkuszy druku.

Ponieważ od poparcia zaraz w początkach zależy dalsza egzystencya i pomyślny rozwój pisma — przeto uprzejmie prosimy o łaskawe poparcie zaraz i o polecanie tego wydawnictwa swym znajomym.

Im większe i życzliwsze będzie poparcie, tem usilniej i my starać się będziemy pismo ulepszać, podając w niem coraz ciekawsze i coraz pożyteczniejsze artykuły.

Ustrój przyszłego państwa socyalno-demokratycznego i jego wady.

Napisał F. G.

I.

Przed 30 laty nikt nie słyszał, u nas przynajmniej, o socyalistach; lecz jakże się zmieniły stosunki, kiedy dziś stanowią socyalni-demokraci partyę silną, dobrze zorganizowaną, z którą rządy liczyć się muszą, reprezentowaną wskutek rozszerzenia prawa wyborczego w parlamencie w dosyć poważnej liczbie.

„Nowinki socyalistyczne", jak niegdyś nowinki reformatorskie, wtargnęły do nas z Zachodu, stamtąd otrzymują poparcie, a natrafiając w klasach robotniczych na materyał podatny, szerzą się z elementarną prawie gwałtownością, większe coraz zataczając kręgi. Ruch socyalno-demokratyczny, początkowo lekceważony, nie znajdował skutecznej zapory i temu zawdzięczać należy, że tak spotężniał; dziś również społeczeństwo nie występuje do walki z nim, jak powinno, chociaż wszyscy wiedzą dobrze, że ruch ten grozi zagładą ustrojowi społeczeństwa i dąży do jego zupełnego przewrotu, bezwarunkowo nie na lepsze.

Dzisiejszemu ładowi społecznemu zarzuca doktryna socyalno-demokratyczna *nierówność posiadania,* a co za tem idzie *nierówność korzystania z darów przyrody i używania życia.* Z jednej strony nagromadzone bogactwa, życie bez troski i pracy w zbytkach i rozkoszach, z drugiej praca ciężka, wyzyskiwana przez kapitalistów, nie nagradzana sprawiedliwie, nie dająca nawet środków na utrzymanie, nędza i głód. A przecie wszyscy są ludźmi i równe mają prawo do życia i jego uciech.

Tę nierówność chce socyalna-demokracya usunąć, zrównać wszystkich ludzi pod każdym względem i zapewnić każdej jednostce równe środki do utrzymania życia. Cóż więc dziwnego, że robotnik, ciężko zarabiający na chleb dla siebie i rodziny, słysząc takie obietnice i wierząc w obiecywaną lepszą przyszłość, jeżeli nie dla siebie, to dla swego potomstwa, na oślep, nie badając obietnic tych krytycznie, zapisuje się pod sztandar socyalnej-demokracyi.

Szerzeniu się szkodliwej tej doktryny sprzyjają i inne jeszcze okoliczności.

Osłabienie wiary i ducha religijnego w społeczeństwie, bodaj czy nie najważniejszą odgrywa tu rolę.

Nad osłabieniem powagi Kościoła i jego sług pracują od wieków różne czynniki. Państwa widząc jaką moralną potęgą jest Kościół i chcąc dla swych politycznych celów potęgę tę wyzyskać, pierwsze zaczęły osłabiać powagę Kościoła, dążąc do uczynienia z Kościoła posłusznego sługi; za państwami poszły jednostki — w ludzkiej bowiem leży naturze chęć krytykowania wszelkiej powagi. Masonerya, liberalizm a obecnie socyalna-demokracya podały sobie ręce w osłabieniu moralnej siły i potęgi religii i sprowadziły dzisiejszy indyferentyzm religijny tak w warstwach inteligencyi i możnych, jak i u dołu wśród szarego tłumu.

Znikła wśród społeczeństwa prawdziwa głęboka wiara, jej miejsce zajął egoizm i materyalizm, a na tym gruncie nauka socyalnej-demokracyi czysto materyalna, bogate zbiera żniwo. Mamy wprawdzie miliony chrześcijan z imienia, chrześcijan zaś prawdziwych — nie wielu.

Gdzie niema wiary w życie pozagrobowe, gdzie niema nadziei w nagrodę a obawy przed karą po śmierci, tam niema mowy o zwalczaniu namiętności, tam musi zapanować materyalizm, i tam znajdzie przyjęcie doktryna namiętnościom tym schlebiająca co zaraz, a nie w przyszłem życiu, obiecuje raj na ziemi. Socyalna-demokracya wie dobrze, że głównym jej wrogiem Kościół katolicki, że dopóki Kościół ten posiada jaką taką powagę, dopóki wiara w życie pozagrobowe ożywiać będzie serca ludzkie, tak długo nie wybije dla niej godzina zwycięstwa, więc wszelkiemi siłami, wszelkimi środkami stara się Kościół ten zwalczać, obrzuca sługi jego oszczerstwem, zieje nieprzejednaną dlań nienawiścią.

Zanik lojalności dla monarchicznego ustroju państwa jest drugim czynnikiem, który przygotowuje grunt pod posiew socyalnej-demokracyi. Wprawdzie mienimy się monarchistami,

afiszujemy przy każdej sposobności ostentacyjnie nasze uczucia monarchiczne, ale mimo to tęsknem spoglądamy okiem w stronę republiki.

Monarchizm jest jednak silną zaporą dla socyalizmu. Dynastya stojąca przez kilka wieków u steru państwa, związana jest niezliczonemi nitkami uczucia z poddanymi; dzieliła ona dolę i niedolę państwa, dała mu mężów wszelkich, sławnych, dobrotliwych i sprawiedliwych, a zasług ich spadkobiercą panujący. Wytwarza to silną łączność między monarchą a ludem, wzajemną miłość — jest bodźcem miłości Ojczyzny, której reprezentantem monarcha.

Dopóki więc miłość dla monarchy żyje w sercach ludów i około tronów skupiają się miliony związane tradycyą z panującą dynastyą, tak długo socyalna-demokracya nie będzie święcić tryumfu.

A więc obok Kościoła zwalcza socyalna-demokracya monarchizm, wskazując na ustrój republikański, jako lepszy, osłabia w narodach lojalność dla dynastyi, osłabia miłość Ojczyzny. I widzimy to naocznie, że w państwach republikańskich socyalna-demokracya daleko większe robi postępy, jak w monarchiach.

Zdawałoby się, że skoro o niebezpieczeństwie grożącem ze strony socyalnej-demokracyi przekonani są wszyscy, to powinny wszystkie czynniki skupić się do jej zwalczania i do obrony zagrożonego ładu społecznego. A przecież tak nie jest. Przypatrzmy się parlamentom europejskim. Wszędzie ścierają się w zażartej ze sobą walce różne stronnictwa, które w zacietrzewieniu partyjnem, przeoczają główne niebezpieczeństwo i z zawiści partyjnej przeszkadzają sobie w podejmowanych usiłowaniach zwalczania zmory socyalno-demokratycznej. I to jest trzeci czynnik sprzyjający rozwojowi szkodliwej tej nauki.

Wobec tak sprzyjających warunków cóż dziwnego, że na gruncie indyferentyzmu religijnego i narodowego socyalna-demokracya coraz szersze ogarnia koła. Najlepiej jej wzrost ilustrują stosunki w Niemczech. W roku 1871 oddano w Niemczech na kandydatów socyalnych do parlamentu 101.000 głosów, w roku 1887 wzrosła liczba tych głosów do 1,331.000.

Główną bronią socyalnej-demokracyi jest prasa nadzwyczaj ruchliwa. Setki tysięcy pism socyalistycznych rozchodzi się codzień w różnych językach, miliony je czytają, a pozbawione po większej części zmysłu krytycznego, wierzą i przysięgają *in verba magistri.*

Sposób redagowania tych pism jest zastósowany do celów

propagandy. Nędzę u robotnika — a nędza zawsze i wszędzie się zdarza — malują w kolorach drastycznych, jaskrawych, nie pytając wcale, gdzie jej źródło, czy ona zasłużona czy nie; wmawiają w czytelników, że nędza i głód udziałem tylko „wydziedziczonych“, jak się lubią nazywać; nędzy tej z drugiej strony przeciwstawiają zbytek i rozkosze, w których nurzają się uprzywilejowane klasy.

Obrazy to czasem prawdziwe, zwykle przesadzone, a oszczerstwo i paszkwil, to zwykła broń tej prasy. Z lubością cytują pisma socyalistyczne wypadki wyzysku, dumy i niesprawiedliwości ze strony dygnitarzy państwowych, kościelnych, kapitalistów, opowiadają historye o orgiach przez nich wyprawianych. A choć to tylko oszczerstwo lub fakt przekręcony, nic nie szkodzi; za oszczerstwo odsiedzi redaktor parę tygodni aresztu, z którym dobrze zwykle obeznany, a oszczerstwo i paszkwil zrobią swoje.

Generalizując wypadki wyzysku i niesprawiedliwości możnych wobec proletaryatu, wmawiają pisma socyalistyczne w swych czytelników przekonanie, że ustrój społeczny obecny popiera jeno kapitalistów, że państwo i Kościół stoją w służbie kapitału ku ciemiężeniu i wyzyskowi robotnika, który przy ciężkiej pracy razem z rodziną przymiera głodem, podczas gdy zbogacone potem jego pracy inne klasy społeczne opływają we wszelkie dostatki. Sieją one w sposób ten nienawiść klasową i wywołują niezadowolenie z obecnego stanu i podbudzają pożądliwość tłumów. Wykazując tylko ujemne strony dzisiejszego ładu społecznego — dodatnie zupełnie pomijają milczeniem.

Oprócz peryodycznej prasy pracuje z powodzeniem także prasa ulotna. Tysiące broszur powtarzają jedne i tę samą piosnkę o milionach wydziedziczonych, których pracą tuczy się nieliczna garstka wybranych, o równych prawach dla wszystkich i niewoli robotnika i t. p.

Z każdego świstka socyalistycznego zieje nienawiść dla Kościoła katolickiego, każdy świstek jest paszkwilem na Duchowieństwo, każde pismo jest taranem burzącym mury monarchizmu.

Jaki owoc musi wydać taki posiew, taka strawa duchowa, mówić nie potrzeba.

Potężnym także środkiem propagandy jest pieniądz. Towarzysze opodatkowują się dobrowolnie; ze swych tygodniowych zarobków składają pewien procent na wspólne cele, a życzyćby państwom należało, by kontrybuenci tak sumiennie

i regularnie opłacali podatki państwowe, jak socyalni-demokraci tę dobrowolnie przyjętą opłatę. W ten sposób gromadzą znaczne sumy potrzebne na wsparcie peryodycznej prasy, na wydawnictwo pism ulotnych, na podróże płatnych stałych agitatorów, na pensye prowodyrów, na podtrzymanie bastówek.

Z pieniędzy składanych przez towarzyszy utrzymuje się cała falanga agitatorów wędrownych, a niektórzy przewódcy wcale pokaźne pobierają płace, które pozwalają im żyć nieraz na wysokiej stopie, choć nie przeszkadzają piorunować na uprzywilejowanych. Dla niektórych przywódców jest to zawód — równie dobry jak każdy inny, lepszy może, bo hojnie uposażony — a wymagający tylko dużo krzykactwa, dosadnych wyrażeń i dużo blagi.

W każdym razie podziwiać musimy ofiarność towarzyszy i ich karność.

Mają bowiem silną organizacyę z rządem u góry, z organami podwładnymi, a wszystkie rozkazy tego rządu bywają z ścisłością wykonywane. Posłuszeństwo w szeregach socyalnej-demokracyi jest bezwzględne, czysto wojskowe. Mamy tego dowody na bastówkach. Nieraz strejki są wynikiem istotnie anormalnych stosunków, skutkiem nieludzkiego wyzysku, w wielu jednak wypadkach trudno dopatrzeć racyonalnej przyczyny bezrobocia. Wtedy strejk jest nakazany z góry, a cel strejku jest różny, nieraz tylko dla wypróbowania swej siły.

Czy bastówka dla robotników skończy się klęską, czy zwycięstwem, rzecz podrzędna; klęska robotników przyczynia się do powiększenia niezadowolenia wśród mas robotniczych, zwycięstwo zaś podnosi zaufanie, poczucie siły własnej, w jednym i drugim wypadku idea na tem zyskuje.

Powszechnem jest zdanie, że główną przyczyną ruchu socyalno-demokratycznego i jego potężnego rozrostu jest powszechna nędza wśród robotników. Nie przeczymy, że trafiają się częste wypadki nędzy w tych kołach, ale nędza była i będzie zawsze wśród społeczeństwa, czy to z powodu nieszczęścia, czy własną jednostki nieopatrznością i winą wywołana. Były czasy większej powszechnej nędzy — weźmy n. p. w środkowej Europie czasy wojny trzydziestoletniej, a socyalnych-demokratów wcale nie było.

Jeżeli przypatrzymy się bliżej życiu robotnika fabrycznego lub górnika, z których rekrutuje się *gross* armii socyalno-demokratycznej, to musimy przyjść do przekonania, że zarobki ich przy pewnej rządności wystarczają po większej części na utrzymanie ich i ich rodzin, że zarobki ich w porównaniu

z dochodami niektórych klas n. p. niższych urzędników, nauczycieli ludowych i t. p., mających daleko większe potrzeby, są większe przy mniejszych daleko potrzebach, a więc o powszechnej nędzy mowy być nie może. Musi być przeto coś innego, co tłumy gromadzi w socyalistycznym obozie; jest to duch czasu, zrodzony przez równouprawnienie.

Zasada równouprawnienia według nauki przywódców ruchu socyalnego nie jest przeprowadzona należycie. Cóż z tego, że wobec państwa każdy obywatel jest równy? Jak jednak ta równość w praktyce wygląda? Kto zajmuje najintratniejsze posady w państwie, w Kościele? kto zasiada w parlamentach? Prawda, że każdemu droga do wszystkich dostojeństw otwarta, ale kto ma większe środki do ich zdobycia, czy proletaryusz zarabiający na skromne wyżywienie rodziny, czy ten, któremu intratna posada lub posiadany majątek pozwalają bez zbytniego uszczerbku dać dzieciom odpowiednie wykształcenie. Synowie więc klas posiadających, mając w ręku odpowiednie środki, mogą sięgać zawsze po wyższe, intratniejsze stanowiska, które dla syna proletaryusza tylko w wyjątkowych razach, przy największych ofiarach ze strony rodziny są dostępne. Gdzież więc równouprawnienie?

Cóż szkodzi n. p. szlachcie, że zrzeka się swych feudalnych prerogatyw, kiedy i tak dziedzicznie dominujące zajmuje stanowisko, potężna majątkiem i wykształceniem, a ciężka praca dziedzicznie z pokolenia na pokolenie proletaryusza spada, bo mu brak środków do wyniesienia się na wyższe i lepsze stanowisko.

Przez równouprawnienie rozumie socyalna-demokracya zrównanie wszystkich ludzi p o d k a ż d y m w z g l ę d e m. A więc różnicy nie powinno być w posiadaniu, różnicy w ubiorze, pokarmie, mieszkaniu, pracy i wykształceniu.

Używanie życia i jego rozkoszy, to jeden z głównych postulatów socyalnej-demokracyi.

Różnica w sposobie życia robotnika a ludzi zamożnych bije w oczy na każdym kroku. Wspaniałe wille z marmurowymi posągami, wśród uroczych parków i kląbów kwiatowych są krzyczącym kontrastem z wilgotną, zimną i pozbawioną wszelkiego wdzięku izdebką robotnika; lukullusowe uczty, wspaniałe polowania, bale, o których się czyta w dziennikach, rajem wydawać się muszą dla robotnika, którego przysmakiem chleb czerstwy, a całym zbytkiem liche cygaro. Jakież uczucie musi wzbudzać w nim widok wspaniałych cacek artystycznych, nagromadzonych po wystawach sklepowych, dlań niedo-

stępnych, przeznaczonych dla klas posiadających, które przecie dziełem są ręki robotnika, skąpo wynagrodzonego, a często niestety wyzyskiwanego.

Porównując więc zbytek i bogactwo w pałacach możnych ze swoimi stosunkami, uczuwać musi robotnik pomimowoli zazdrość, a jeżeli jeszcze znajdzie się ktoś, co mu nieustannie prawi, że on ma równe prawa do takiego samego zbytku i używania, że wszelka własność jest kradzieżą, popełnioną na społeczeństwie, że zbytki te i bogactwa mają jedyne źródło w wyzysku pracy robotnika, to musi z zazdrości zrodzić się zawiść i pożądliwość i nowy towarzysz socyalnej-demokracyi gotowy, bo chętnie pójdzie za tym, kto mu obieca zupełną równość i używanie wszelkich życia rozkoszy, a uwierzy obietnicom tem chętniej, że pozbawiony po większej części wiary głębokiej, w życiu doczesnem widzi całe szczęście,—jest zupełnie zmateryalizowany.

Zresztą i dziwić się nie należy, że klasy pracujące, że proletaryat stojący pod sztandarem socyalnej-demokracyi tchnie nienawiścią dla szczęśliwych posiadających: — płaci on tylko pięknem za nadobne.

Powszechnem jest zapatrywanie, że zyskany w granicach prawnych majątek uważamy za przedmiot, którym dobrowolnie rozporządzać możemy, nie potrzebując zeń nikomu zdawać rachunku; jest to zasada egoizmu. Etyka chrześcijańska uczy nas jednak, że jesteśmy tylko doczesnymi szafarzami hojniej na nas zlanych darów i że z posiadaniem łączą się obowiązki względem bliźniego. Postąpiliśmy daleko w cywilizacyi, ale o wiele cofnęliśmy się w tył na polu miłości bliźniego.

Prawdziwy duch chrześcijański zanika w społeczeństwie, miejsce jego zajął egoizm, materyalizm, gonitwa za przyjemnościami życia, a do tego dążą i socyaliści. Przykład działa z góry.

Materyalizm i egoizm u góry musiał oddziałać na klasy niższe, natchnąć je pożądliwością dóbr doczesnych, skoro przestały wierzyć w dobra wieczne, a przy zręcznie szerzonej agitacyi rzucić w ramiona socyalnej-demokracyi, która obiecuje równość we wszystkiem, równe uciechy życia, dostatki, która roztacza przed oczami mas obraz społeczeństwa, gdzie niema panów ani sług, wyzyskiwaczy ani wyzyskiwanych, gdzie zupełna panuje równość.

II.

A teraz przypatrzmy się temu wymarzonemu rajowi socyalistycznemu pod względem prawnopaństwowym, kościelnym, obyczajowym, towarzyskim i t. d. i zastanówmy się, czy zdoła on zadowolnić żądania mas, czy stanie na wysokości swego zadania i czy wogóle da się długo utrzymać.

Pierwszym czynem państwa socyalnego będzie: zniesienie wszelkiej prywatnej własności, bądź w ziemi, bądź w budynkach, fabrykach i przedsiębiorstwach przemysłowych i handlowych i skonfiskowanie ich na rzecz państwa.

Skonfiskowane przedsiębiorstwa staną pod zarządem państwa, produkcya cała będzie własnością państwa a dochód jednostki stanowić ma udział, wymierzony stosownie do jej czynności przy produkcyi.

Ten system wszechposiadania środków produkcyjnych, tego kollektywnego posiadania kapitału z publiczną organizacyą pracy i rozdziału udziałów, ma zapobiedz dotychczasowej konkurencyi pomiędzy przedsiębiorstwami w jednej gałęzi, konkurencyi, która obecnie obniża zarobek robotnika, ma zapobiedz nadmiarowi produkcyi i zapewnić robotnikowi stałe i nieprzerwane zatrudnienie pod kierownictwem państwa i odpowiednie dać mu za to wynagrodzenie.

Dzisiejsi przewódcy socyalnej-demokracyi zarzucili system proponowany przez Lassalla, system spółek produkcyjnych, gdyż pomiędzy takiemi spółkami musiałaby bezwarunkowo powstać konkurencya, jaka dziś istnieje pomiędzy przedsiębiorstwami prywatnemi, i łatwoby się to stać mogło, że jedna z tych spółek prosperowałaby należycie, druga zaś upadła; powróciłyby więc znowu stosunki dzisiejsze.

Mylnem jest zapatrywanie, że socyalna-demokracya dąży do komunizmu. System skreślony dalekim jest od komunizmu. Państwo socyalistyczne, konfiskując prywatną własność, nie dzieli jej pomiędzy wszystkich obywateli na równe części, bo taki podział do niczegoby wreszcie nie doprowadził. Równości majątkowe znikłyby tylko chwilowo; po niedługim już czasie nastąpiłaby znowu nierówność majątkowa i trzebaby powtórny przeprowadzać podział i tak w nieskończoność. Taki nieustanny podział byłby tylko premią dla próżniaków.

Tymczasem zasada socyalnej-demokracyi jest, że każdy człowiek powołany jest do pracy, że wyzysk jednych przez drugich, czy to za pomocą lichwy, podstępu lub gwałtu, jest karygodny, że każdy robotnik stosownie wynagradzany być winien. A przecie zasady te, są wzięte z nauki chrześcijańskiej, tak zwalczanej i znienawidzonej przez socyalnych-demokratów.

Teorya socyalnej-demokracyi wyklucza z góry możliwość nabycia najdrobniejszej chociaż własności, domku lub ogródka, urządzenia sobie go według upodobania, gdzieby się człowiek czuł zupełnie „u siebie“ i coby mógł kiedyś dzieciom na pamiątkę zostawić. Teorya to tak przeciwna ludzkiej naturze, że gdyby towarzysze dziś poznali doniosłość idei wszechposiadania środków produkcyjnych przez państwo, kto wie, czyby się zdecydowali dalej iść pod „czerwonym sztandarem“,

Ale przypuśćmy, że system ten zadowolniłby wszystkich i że wszelkie gałęzie produkcyi upaństwowione zostaną. W jaki sposób państwo socyalistyczne przystąpi do administracyi?

Wydzierżawiać gruntów, domów, przedsiębiorstw jednostkom nie można, bo od indywidualności jednostki, od jej sprytu i pilności zależałoby jej zbogacenie się lub zubożenie, a więc znowu byłaby zwichnięta równowaga. Wszystkie więc gałęzie produkcyi muszą we własnym zarządzie być administrowane; dla każdej gałęzi produkcyi ustanowićby trzeba osobny kolosalny zarząd, dobrany z fachowców, osobny personal nadzorczy dla kontroli pracujących, dla obliczenia wartości pracy i wymiaru wynagrodzenia z ogólnego dochodu. Nie da się zaprzeczyć, że w ten sposób urządzone państwo socyalistyczne przedstawiałoby się jako jedna olbrzymia fabryka, a właściwie jako pewna liczba olbrzymich fabryk, będących własnością jednego pana.

Dotąd mieliśmy na myśli większe przedsiębiorstwa, które łatwiej w ramy takiego kollektywnego systemu włożyć się dadzą. Ale istnieje przecież cały szereg drobnych przedsiębiorstw produkcyjnych, weźmy n. p. mały warsztat rzemieślnika, lub dorożkarza posiadającego parę koni. Ani takie nawet drobne przedsiębiorstwa nie mogą istnieć w państwie socyalnem, bo łatwo drobny przedsiębiorca mógłby przy sprycie, oszczędności i pilności zbogacić się, mógłby uciskać i wyzyskiwać swą czeladź — a więc znaczyłoby to znowu wracać do dawniejszych stosunków. A więc i takie małe przedsiębiorstwa musianoby upaństwowić.

W państwie socyalistycznem niema więc miejsca dla samoistnego szewca, krawca, kowala, kupca, nawet posługacza, nikomu nie będzie wolno produkować na własny rachunek, na własną i swojej rodziny korzyść, cała produkcya odbywać się musi na rachunek państwa według wskazówek ustanowionych kierowników we wspólnych przemysłowych zakładach, za wynagrodzeniem odpowiadającem czasowi i wartości pracy, a obliczonem przez kierownictwo.

Z teoryi tej wynika zasada, że w państwie socyalistycznem nie będzie z jednej strony kapitalistów - pracodawców, z drugiej robotników za zasługą lub akordowych, natomiast będą sami producenci na wspólny rachunek. W ten sposób stanie się państwo socyalistyczne zbiorem niezliczonej ilości najróżnorodniejszych przedsiębiorstw rolnych, handlowych, przemysłowych, których jedynym właścicielem i administratorem będzie państwo, i państwo każdemu członkowi, zdolnemu pracy przydzieli zatrudnienie i oznaczy wynagrodzenie.

Pomimo, że obraz to dla dzisiejszych ludzi trochę dziwny, nie chcemy z góry odmawiać mu racyi bytu, nie chcemy nazwać go nienaturalnym; wszak i dziś niektóre przedsiębiorstwa w administracyi państwa wyłącznie zostające jak poczta, telegraf, prosperują. Przypuśćmy, że chociaż w państwie socyalistycznem jednostki będą pozbawione samodzielności pod względem swej zawodowej pracy i mały czy wielki, każdy będzie niejako robotnikiem jednej wielkiej fabryki, a właściwie jej współproducentem, to stosunek taki tylko wtedy może zadowolnić jednostkę, jeżeli zajęcie odpowiada jej powołaniu, jeżeli urządzenie tej fabryki jest należyte i kierownictwo sprawiedliwe, a wreszcie jeżeli przedsiębiorstwo jest rzeczywiście rentownem.

Zastanówmyż się bezstronnie, czy państwo socyalistyczne jest w stanie warunkom tym zadość uczynić.

Aby ze stanu swego być zadowolonym, potrzeba aby stan ten wypłynął z wolnego wyboru, z powołania, a co za tem idzie, potrzeba wolności zmiany stanu, jeżeli pierwszy wybór stanu okazał się fałszywym. Wolny wybór stanu jest w życiu ekonomicznem ważnym motorem, bo obudza ducha inicyatywy, dodaje energii i człowiek z radością poświęca się zawodowi, który sam sobie obrał.

Takiej wolności wyboru zawodu państwo socyalne dać nie może. Państwo socyalne jako organizator i administrator wszystkich gałęzi produkcyjnych musi także dbać o to, aby te ga-

łęzie produkcyjne należycie prosperowały, aby wszystko, co do życia społeczeństwa potrzebne w dostatecznej ilości było wytworzone, aby wreszcie każdy współproducent dostateczny za swoją pracę uzyskał udział. Będzie więc głównem zadaniem państwa wyprodukować potrzebną ilość ziemiopłodów, wytworzyć dostateczną ilość ubrań, obuwia, urządzić należytą komunikacyę i środki transportowe, słowem postarać się o wszystko, co do codziennego życia obywateli potrzebne. Aby to uskutecznić, potrzeba siły robotnicze tak rozdzielić, aby w każdej gałęzi pracowała odpowiednia ilość ludzi. Praca zaś w jednym zawodzie jest lżejsza, w drugim cięższa, mniej lub więcej przyjemna, mniej lub więcej popłatna.

Gdyby więc państwo socyalistyczne pozostawiło każdemu wolny wybór zawodu, to rzeczą jest niezaprzeczoną, żeby się wszyscy cisnęli do zawodów, gdzie praca lżejsza, przyjemniejsza, intratniejsza, pozostawiając bez pracowników zawody więcej ciężkie i mniej intratne. W ten sposób pewne gałęzi produkcyi leżałyby odłogiem, pewne artykuły codziennego życia nie znalazłyby wytworców i brak ich czućby się dał społeczeństwu. Tak więc liczba pracowników w każdym zawodzie musiałaby być przez państwo oznaczona. Ponieważ zaś do każdej pracy potrzeba odpowiedniej rutyny i odpowiedniego fachowego wykształcenia, musiałoby państwo już od lat dziecinnych przeznaczyć dla każdego człowieka zawód, i w tym zawodzie go kształcić, inaczej z samych dyletantów złożone przedsiębiorstwo produkcyjne nie mogłoby wydać należytych wyników.

Byłoby to coś podobnego jak przy brance wojskowej. Komisya asenterunkowa wie, że tylu a tylu ma przydzielić do konnicy, tyle do piechoty, tyle do artyleryi i t. p. i przeznacza popisowych bez względu na ich osobiste chęci, według swego uznania do różnych gatunków broni. Ale armia składa się ze setek tysięcy — państwo socyalne liczymy na miliony — armia ma kilka gatunków broni — państwo socyalistyczne tysiące zawodów. Co za ogromna praca w przydzielaniu zawodów jednostkom, tem więcej, jeżeliby się do każdego zawodu chciało mniej więcej odpowiednie dobrać jednostki. Służba w armii trwa lat kilka tylko, poczem żołnierz odzyskuje wolność; zawód nadany przez państwo socyalistyczne nie mógłby już być zmieniony, trwałby przez całe życie, bo dozwolona zmiana zawodu spowodowaćby musiała dezercyę z jednego do drugiego zawodu i sprowadzić zastój pewnych gałęzi przemy-

słowych. Wykluczoną jest więc w państwie socyalistycznem zupełnie wolność wyboru zawodu, wykluczoną możność zmiany zawodu. A czy takie stosunki nie wywołałyby niechęci i niezadowolenia, czyby nie byłyby przeszkodą w produkcyi — łatwo osądzić.

Nadto musiałoby państwo socyalistyczne zaprowadzić *przymus* pracy, bo pomyślmy tylko, gdyby w państwie socyalistycznem były możliwe strejki — dzisiejsza broń socyalistów — która w swoim czasie przeciw nim samym zwrócićby się mogła — coby się stało w takim razie, gdyby zabrakło wskutek strejku jakiego artykułu, niezbędnego do codziennego życia?

Każdyby więc w naznaczonym zawodzie pracować musiał, a w ten sposób wykluczonąby została zupełnie wolność osobista jednostki.

Dalej wykluczonaby być musiała w państwie socyalnem wolność przesiedlania się. Przy dozwolonej wolności przesiedlania, pewne miejsca posiadające lepsze warunki klimatyczne, przedstawiające dogodniejsze warunki życia towarzyskiego i t. p. ściągałyby ludność ze szkodą dla innych miejscowości, nie posiadających tak dogodnych warunków. Łatwo staćby się więc mogło, że pewna miejscowość pozbawionaby została zupełnie szewców, krawców, piekarzy i swoje potrzeby musiałaby sprowadzać z oddalonych centrów, co, pominąwszy koszta transportu, pozbawiłoby mieszkańców n. p. świeżego pieczywa, świeżego mięsa, i zmusiłoby ich z drobną naprawą obuwia lub ubrania, udawać się daleko. Na to państwo socyalistyczne pozwalać nie może i wyznaczając każdemu zawód, wyznaczy mu równocześnie i miejsce pobytu, którego mu opuszczać nie wolno, bez zezwolenia państwa, gdyż każda miejscowość mieć musi to, co dla jej mieszkańców jest koniecznie potrzebne.

Widzimy więc, że powstałaby najstraszliwsza pańszczyzna, każdy bowiem obywatel państwa socyalistycznego byłby „glebae adscriptus“.

Kolej teraz na sposób administracyi i władze w państwie socyalistycznem.

Anarchiści — wyrośli ze socyalizmu — nad tym punktem przechodcą do porządku dziennego; oni nie potrzebują żadnego rządu, żadnej władzy — pozostawiając zupełną samowolę jednostkom. Przeciwnie w państwie socyalistycznem rząd być musi.

Po upaństwowieniu wszystkich gałęzi produkcyi, kierownicy muszą każdą gałąź produkcyi, każdy zakład opatrzyć potrzebnym inwentarzem i ustanowić odpowiedni personal, a więc przeznaczyć kto w fabryce X. ma być buchalterem, kto „werkführerem“, kto prostym robotnikiem. Wprawdzie republikańska forma znajduje na to sposób: głosowanie towarzyszy. Ale to jest czystą niemożliwością. Każdy towarzysz tworzyłby partyę dla siebie, niechętnie bowiem pozwalamy oceniać naszą wartość przez drugich. Wielu byłoby kompetentów o lepsze i przyjemniejsze miejsca, których mniej, mało zaś chętnych znalazłoby się do wykonywania podrzędniejszych funkcyj. Więc rozdział czynności musiałby nastąpić z góry. Wybór odpowiedniego personalu w większych przedsiębiorstwach jest dla właściciela i dzisiaj rzeczą nie małej wagi, jest trudny, o wieleż trudniejszy będzie w państwie socyalnem dobór kierowników dla tylu najróżnorodniejszych przedsiębiorstw, tem trudniejszy, że każdy przeceniając siebie, będzie się uważał za pokrzywdzonego, jeżeli go ominie spodziewana lepsza posada, tem więcej, że naznaczone mu miejsce ma być dożywotniem. Jak zaś będzie wyglądać posłuszeństwo dla naznaczonego kierownictwa wśród mnóstwa niezadowolonych, osądzić nie trudno, zwłaszcza, że nikt się za sługę, ale każdy za towarzysza, za równego uważać będzie i ma do tego prawo. Pierwsza czynność kierownictwa państwa socyalnego, czynność obsadzenia drabiny socyalnej połączona jest z nadmiernemi trudnościami.

Równie ważną procedurą będzie po puszczeniu w bieg maszyny państwowej, ocenienie pracy pojedynczych współpracowników celem słusznego wymiaru należnego im udziału, stosownie do ich pilności i zdolności. Zasadę równego udziału słusznie odrzuca państwo socyalistyczne, bo niesprawiedliwąby rzeczą było na równi wynagradzać robotnika pilnego, zręcznego — z próżniakiem i niedołęgą, który pewny, że go nie minie udział, spędzałby czas przeznaczony na robotę — na pogawędce. Równość udziałów stałaby się premią próżniactwa, osłabiłaby pilność i energię dobrych pracowników i ostatecznie doprowadziłaby do upadku przedsiębiorstwo.

Aby być sprawiedliwym, należy inny udział przyznać n. p. buchhalterom, inny przodownikom i nadzorcom — następnie ocenić ściśle wartość pracy każdego współpracownika i stosownie do wartości pracy wymierzyć jego udział. Powstaćby przeto musiały pewne kategorye udziałowe, coś niby dzisiejsze rangi urzędowe.

Jeżeli już naznaczenie każdemu właściwej funkcyi połączone jest z ogromnemi trudnościami, to trudności, jakie stają w drodze oznaczeniu słusznego wymiaru udziału, zdają się wprost nie do przezwyciężenia.

Nasuwa się myśl, że kwestya ta mogłaby być rozwiązaną na podstawie rezultatu pracy robotnika w pewnym okresie i wyznaczenie mu na tej podstawie wynagrodzenia za następny okres, n. p. na rok — jednak wynagrodzenie to musiałoby być modulowane według wydatności całego przedsiębiorstwa. Taki wymiar jednak to to samo, co wynagrodzenie akordowe, a więc przeciwne idei socyalistycznej. Byłby to może najłatwiejszy sposób rozwiązania tej kwestyi, ma jednak tę niedogodność, że mu za podstawę służy nie obecna pilność i praca robotnika, ale pszeszła, a ustanawiając na przyszły peryod coś niby stałą płacę, — znowu wbrew idei socyalnej — mogłoby się robotnika zachęcić do zaniedbania, do mniej wydatnej pracy, skoro ma z góry oznaczony już udział zapewniony.

Chcąc zaś tej możliwej opieszałości zapobiedz, trzebaby nadzwyczaj ścisłą zaprowadzić kontrolę i każdego zaniedbującego się karać odpowiedniem zmniejszeniem się jego udziału, coby znowu wywołać musiało niezadowolenie. — A zresztą na co te kary miałyby być obracane — na zwiększenie udziału pilnych — czy na rzecz państwa? I w jednym i w drugim wypadku idea socyalna byłaby naruszona, bo kosztem jednych bogaciłby się drugi, choćby tym drugim było państwo.

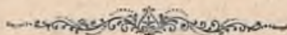
Aby nie dopuścić się niesprawiedliwości, trzebaby dokładnie obliczyć wydatność pracy każdego poszczególnego robotnika od jednego terminu rozdziału udziałów do drugiego, a więc prowadzić jak najściślejszą kontrolę. Taka kontrola, pominąwszy bezstronność i możność w ocenianiu pracy — wymagać musi całej armii personalu nadzorczego, a obliczenie zanadto wiele czasu i znowu armii urzędniczego.

Przystąpmy teraz do kwestyi, w jaki sposób ta cała armia urzędnicza i nadzorcza ma być wynagradzaną.

System pensyjny jest z góry wykłuczony, bo przy ustanowieniu stałych pensyj urzędnik byłby albo pokrzywdzony w razie, gdyby wynik całej gospodarki był bardzo korzystny, albo pokrzywdzeni byliby pracownicy na rzecz urzędników, którzy w razie niepowodzenia, a więc zmniejszenia

udziałów pracowników pozostaliby przy swej stałej pensyi. Musiałby więc być wynaleziony pewien klucz do ocenienia pracy urzędnika w stosunku do ogólnego zysku, co tem jest trudniejszem, że praca umysłowa nie da się podciągnąć pod pewien strychulec, jak praca fizyczna. O tem jednak nie wiele słychać w kołach socyalistycznych — snać przywódcy dotąd nie wynaleźli sposobu załatwienia tej sprawy.

(Dokończenie nastąpi).



WŁOŚCIANIE W POLSCE.

Krótkie studyum historyczne.

Napisał I. P.

„Oni nie miłują przeszłości, bo dzieje narodu nie są ich dziejami; a wiekowa praca ich ojców przeszła dla nich bez skutku i śladu“.

Supiński.

Stan włościański, ta wielomilionowa siermiężna rzesza, której pracowita ręka z łona ziemi wydobywa dla społeczeństwa najkosztowniejsze skarby, bo chleb powszedni, przechodził w dziedzinie swego narodu różne, niejednokrotnie przykre, a nawet bolesne koleje.

Bywało, że polski włościanin, pierwotnie wolny zasiadał wraz z rycerzami czyli późniejszą szlachtą na wiecach i naradzał się z nimi nad dobrem krajowem; atoli z biegiem czasu stan panujący czyli szlachta ograniczała coraz więcej wolność włościanina, uczyniła go swym poddanym i nałożyła na niego pańszczyznę, t. j. przymusowe robocizny bez wynagrodzenia i różnorodne daniny. Włościanin stał się poniekąd niewolnikiem.

Dzisiaj jego dola jest wcale znośna i poczesna: został on uwłaszczonym, równouprawnionym — jest obywatelem państwa. A skoro tak, skoro włościanin jest naszym spółobywatelem, to należy poznać: czem był w przeszłości, jakie przechodził koleje w wiekach minionych, bo powiada nasz proroczy kaznodzieja ks. Skarga: „Kto nie wie: co się w kraju działo, lub dzieje, jest jako ten, który nie zna ojca, ni matki swojej!“

Od niepamiętnych czasów istniał w Polsce rodzaj poddaństwa jak u starożytnych Greków, Rzymian, Germanów czyli Niemców, które w ten sposób powstało, że pierwotni Polacy

przemocą oręża kraj i mieszkające w nim plemiona ludu ujarzmiali i zwyciężonych mieszkańców uważali za swych niewolników [1]).

Przed zaprowadzeniem chrześcijaństwa w Polsce nie było stanu mieszczańskiego; byli tylko rycerze — późniejsza szlachta i włośnianie.

Szlachcicem był ten, który wskutek swego urodzenia mieszał się więcej do rządów kraju, aniżeli drugi.

Szlachcic polski, to rycerz, który zatknął miecz do pochwy i powiedział sobie. „Nie z wojny, ale z mego wyższego pochodzenia szukać będę zysku i sposobu do życia“. Jak wszędzie tak i w Polsce starszy rycerz od szlachcica i rycerz jest przodkiem szlachcica.

Słowianie, do których należą Polacy, byli ludem spokojnym i trudnili się uprawą roli, hodowaniem bydła i pszczelnictwem. Napadnięci zbrojno przez Karola Wielkiego musieli pochwycić oręż dla swej obrony; i niezawodnie od owego to czasu w pokoleniu Lechów czyli u Polaków zaczęli powstawać rycerze, t. j. ludzie orężni, wojenni z zawodu. Oni to w ciągu rozlicznych wojen, a osobliwie za Bolesława Wielkiego nazbierali łupów i napędzili jeńców do swoich włości.

Rycerz saski, osiadły w 9 i 10 stuleciu w podbitym przez niego słowiańskim kraju pomiędzy rzekami Łabą i Odrą miejscowych Słowian, ludzi niewojennych uczynił jeńcami i chłopami, którzy musieli na niego pracować!

Rycerz polski poszedł za jego przykładem, gdyż miał także w swej włości wojennych brańców, i dążył do tego, iżby jego ziomek — Polak niewojenny, ubogi, był chłopem, poddanym, pracującym dla jego dobra.

Stan włościan był pierwotnie jeszcze poczesny, bynajmniej tak bolesny jak w późniejszych wiekach. Mówi bowiem nasz dziejopis Szajnocha w historyi Bolesława Wielkiego czyli Chrobrego, że „kmieć piastowski, t. j. w czasach, gdy u nas rządzili Piastowie, zasiadał pospołu z rycerzem na wiecach i na równi z nim radził“.

Toż Bolesław Wielki miarkował równowagę pomiędzy rycerzem a chłopem; nie chciał włościan poniżać i tak opisał obowiązki obu stanów, iżby społem pracowały dla dobra ogółu.

Oto rycerz był poniekąd żołnierzem z zawodu, człowiek

---

[1]) Porównać: Łukasz Gołębiowski: Lud, jego zwyczaje, zabobony strona 9.

zaś niewojenny składał opłaty na wojnę, znosił daniny w zbożu, odbywał roboty osobiste i sprzężajne po zamkach, przy publicznych budowlach i tylko w ostatniej potrzebie za broń chwyiał. Po zgonie tego dzielnego króla nastało próżniactwo, a książęcy dwór opanowali łakomcy; toż podatki i daniny szły do ich kieszeni i spichrzów.

Rycerz, zamiast pilnować chłopa, iżby pracował dla dobra narodu, zaczął go używać na swoją własną usługę na równi z jeńcem, którego sobie zabrał był w czasie wojny. Kasztelanowie po zamkach i starostowie wyganiali ludzi wolnych do swoich robót, lub nakazywali dla swych koni i psów zabierać z ich stodół zboże. Włościanin zrównał się więc niebawem z jeńcem, popadł w pogardę.

W Polsce ułożyło się wszystko jak w sąsiednich ziemiach pomiędzy rzekami Łabą i Odrą; tylko że tam Sas zwycięsca mianował włościanina chłopem, niewolnikiem, a u nas Polak — Polaka.

Cierpliwi zrazu włościanie polscy zaczęli teraz użalać się na rycerstwo, ubolewać nad różnicą stanów, a w końcu złorzeczyć nawet świętej wierze Chrystusowej, która nakazuje: miłować bliźniego jak siebie samego, a której złość stanu możnego umiała użyć ku zdzierstwu i ujarzmieniu bliźniego.

W czasie bezkrólewia po śmierci Mieczysława II [1]) powstały wskutek słusznego oburzenia rozruchy. We wielu okolicach zebrali się włościanie zbrojno, poobierali sobie naczelników, staczali walne bitwy z rycerzami. W rozgoryczeniu mszcząc się za swój ucisk i niewolę okazywali się okrutnymi: mordowali ich żony, dzieci i starców, nie przepuszczali księżom i Biskupom, palili dwory, zamki i kościoły, powracali do słowiańskiej bałwochwalczej religii, święcili na nowo gaje, odbywali „sobótki“ z tańcami w nadziei, że przez to odzyskają wolność na zawsze.

To było jużci niemożliwem. Przecie tyle zyskali, że wskutek ich silnego odporu zachwiała się ich jeszcze nieutwierdzona niewola; włościanie nie byli teraz uciemiężonymi niewolnikami wojennymi.

Pierwsi polscy królowie byli tylko naczelnikami rycerstwa: żyli podobnie jak oni z łupu wojennego i włościan. Kmiecie płacili za Bolesława Krzywoustego tak zwane poradlne: po 20 srebrnych od łanu. Łanem zaś nazywano kawał ziemi, który można było obrobić parą koni. Znosili

---

[1]) Panował od r. 1025—1034.

nadto włościanie osep, t. j. pewną ilość wszelkiego zboża na stół królewski.

Istniał oprócz tego podatek w życie i owsie dla ludzi zamkowych i zwał się stróża. Dostawiali też włościanie bydło do rzezi; tę daninę zwano krownem. Nie dosyć na tem: dawali oni jeszcze źrebięta do stajni, tuczne wieprze, gołębie, kury i miód. To były opłaty i daniny stałe.

Jako ciężar nadzwyczajny można liczyć stan czyli tak zwane stacye, t. j. obowiązck, wskutek którego włościanie musieli podejmować w przejeździe króla, lub księcia z całym jego dworem.

Do tego wszystkiego policzyć należy posługi: najprzód powóz, t. j. dawanie królowi i jego dworzanom koni do przeprzągania, podwody, t. j. obowiązek dawania wozów i koni dla królewskich komornych, którzy między innemi wypełniali obowiązki woźnych, w końcu przewód, t. j. obowiązek dawania konnego przewodnika, który miał jadącym urzędnikom wskazywać drogę [1]).

Chociaż te ciężary mogły być dla włościan niekiedy przykre, nie były one przecie niesprawiedliwe, gdy szło o przyczynianie się do dobra ogólnego. Atoli za króla Kazimierza Sprawiedliwego [2]) prawie wszystka podróżująca szlachta, czy w rządowym, czy tylko we własnym interesie zmuszała włościan do tych posług na swoją korzyść. Nie czyniono już różnicy pomiędzy dobrami królewskimi, duchownemi i szlacheckiemi, a to trzymano się tej niesprawiedliwej zasady, że „chłopi" od tego są, iżby szlachcie służyli.

Duchowni pierwsi ujęli się za uciemiężonymi włościanami i powstali przeciw tym nadużyciom tem więcej, ponieważ wskutek zniszczenia włościan malały także dochody z dóbr kościelnych.

Na zjeździe łęczyckim (o którym później dokładnie i szczegółowo pomówimy), na którym było 8 Biskupów, wielu możnych panów ze szlachty i Kazimierz Sprawiedliwy, uchwalono r. 1180, iżby podwody dostarczali włościanie jedynie dla osób, jadących w interesie publicznym.

Tę uchwałę na korzyść gnębionych włościan zabezpieczono zagrożeniem wyklęcia z kościoła i przesłano do zatwierdzenia Papieżowi Aleksandrowi III.

Stan włościan, pierwotnie nie najgorszy i znośny dozna-

---

[1]) Patrz: Łukasz Gołębiowski: Lud, jego zwyczaje, zabobony str. 8.
[2]) Panował od r. 1177—1194.

wał z biegiem czasu coraz przykrzejszego ucisku od stanu panującego czyli szlachty, która wolność włościan coraz więcej ograniczała, ścieśniała, a w końcu uczyniła ich istotnymi niewolnikami.

Na zjeździe wiślickim król Kazimierz Wielki[1]) uznaje, że każdego roku jeden, albo dwaj włościanie mogą wieś porzucić, chociażby i pan nie pozwalał. Dlaczegóż tylko jeden, lub najwięcej dwaj? Oto dlatego, że gdyby wszyscy włościanie mieli nieograniczone prawo osobistej wolności, grunta panów, szlachty nie mogłyby być uprawiane dla braku robotników.

Dotychczas ciążyły wprawdzie na włościanach liczne podatki i nadużycia, lecz oni byli jeszcze właścicielami dziedzicznymi swoich gruntów, posiadali wolność oderwania się od kąta, w którym się urodzili i mogli przeciw każdemu poszukiwać sądownie sprawiedliwości.

Dobra (powiada dziejopis Skrzetuski) przechodziły z rąk do rąk jak i teraz: dawali je królowie duchownym, lub rycerstwu. Atoli kmiecie, otrzymując nowych panów nie przestawali być właścicielami i dziedzicami swoich gruntów. W wielu przywilejach nazywano kmieci dziedzicami, a sprawy o dziedzictwo włościańskie były wyłączone od sądownictwa książęcego.

Co do wymiaru sprawiedliwości wszyscy poddani dóbr, zarówno książęcych jak i szlacheckich i duchownych byli sądzeni w sądach kasztelanów, których naówczas polscy monarchowie z swego ramienia stanowili niejako powiatowymi rządcami i sędziami.

Dziedzice nie mieli władzy sądzenia swych poddanych, jeśli na to nie uzyskali osobnych przywilejów od królów lub książąt.

Za panowania Kazimierza Wielkiego, było już dosyć w Polsce tak uprzywilejowanych dziedziców. Mimo to król przyjmował jeszcze skargi kmieci ziemskich, nakazywał dla nich sprawiedliwość i zapobiegał, iżby ich nie uciskano. Ta łaskawość króla nie podobała się niektórym panom, którzy go też przez żart nazwali „Królem chłopów“ — przezwisko, które w dziejach naszego narodu stało się najchlubniejszym, zaszczytnym przydomkiem tego dzielnego monarchy!

Kazimierz jednak wogóle nie uczynił tyle dla włościan ile może zamierzył. Owszem za jego to panowania dostrzegamy już pierwsze ogniwa kajdan dla przyszłych pokoleń tej nie-

[1]) Panował od r. 1333—1370.

szczęśliwej klasy naszych braci. Uchwalono bowiem nadmienione powyżej prawo, że chłopi osiadli są przywiązani do gleby i z jednej wsi corocznie tylko jednemu, lub najwięcej dwom wolno się wyprowadzić.

Nakazano więc osiadłym włościanom być wiernymi poddanymi swych panów. Każdy chłop zbiegły mógł być w drodze prawa napowrót ściągniętym, a gdyby dowiódł, iż się z nim srogo obchodzono, mógł wprawdzie nie wracać, ale musiał za karę zapłacić trzy grzywny i roczny czynsz.

Już wtedy obchodzenie się szlachty z włościanami musiało być nieznośne i oborzające, albowiem sprawiedliwy król Kazimierz Wielki określa wypadki, w których wszystkim włościanom wolno było porzucić ziemię i wieś.

Odzyskiwali oni wówczas nieograniczoną wolność, ujarzmioną przez szlachtę dlatego, aby włościanie uprawiali jej grunta.

Działo się to wtedy, gdy pan zgwałcił żonę, albo córkę włościanina, którąkolwiek wieściaczkę w gminie, jeśli „rabował, zabierał, przywłaszczał sobie majątek kmiecy“, jeśli był przez rok przez Kościół wyklęty. Naówczas mogli włościanie nieograniczenie rozporządzać swemi osobami; mogli według woli we wsi pozostać, albo grunta porzucić.

Chociaż tedy już pod owe czasy prawa przeciw włościanom zaczynały się srożyć, mogli oni przecież jeszcze poszukiwać sprawiedliwości w sądach kasztelańskich.

Przyznawano im własność tak dalece, że orzeczono, iż pozostały po zmarłym kmieciu majątek powinien przechodzić w spadku nie na pana, ale na krewnych zmarłego włościanina.

Jużci ta sprawiedliwość kasztelańska musiała się niejednokrotnie mijać z nakazami prawa. Albowiem według świadectwa dziejopisa Bielskiego, król Kazimierz Wielki włościaninowi, użalającemu się na swego pana, miał odpowiedzieć: „Miej chłopie w kalecie krzesiwo, a na polu krzemień znajdziesz — toż łacno sobie uczynisz sprawiedliwość, jeśli masz krzywdę!“ Radził mu więc poprostu podpalić strzechę nad głową ciemiężyciela, który bezkarnie gwałcił prawo i uciskał biednego chłopa, pracującego w pocie czoła ku pomnożeniu jego dobrobytu.

W 14 stuleciu rozkrzewiło się w Polsce prawo niemieckie, tak zwane magdeburskie, podług którego zaczęto sądzić najpierw dobra królewskie (królewszczyzny) bez względu na to: czy to były miasta, czy wsie. Za tym przykładem poszli duchowni, a nareszcie i możniejsi ze szlachty, którzy sami prosili króla o ten przywilej dla swoich dóbr.

Na tem prawie osiadli zawierali kontrakty ze zwymi panami: obowiązywali się do danin i robocizn według umowy, byli wieczystymi niejako dzierżawcami, mogli swoich praw odstąpić drugiemu, chociaż za zezwoleniem dziedzica. Wolno im także było zrzec się swych posiadłości: byle je oddawali uprawne, zasiane, wogóle w stanie należytym.

Król Władysław Jagiełło stanowi na sejmie w roku 1423, że jeżeli sołtys, albo kmieć swoją rolę, albo dziedzictwo opuści, pan jest zobowiązany: pozwać, wezwać go czterokrotnie. Jeżeli pozwany kmieć powrotu odmówił, wtedy dopiero pan mógł dziedzictwo kmieciowe wydzierżawić innemu rolnikowi.

Te prawa, chociaż zakażone już szlacheckiemi przywłaszczeniami, pozwalające wątpić: czy król Kazimierz Wielki miał rozległy zamysł usamowolnienia całego ludu, okazują, że w 14 stuleciu, a nawet na początku 15, polscy włościanie mieli i wykonywali swoje prawo czasami ograniczonej, a czasami nieograniczonej wolności, że mogli być pozywani, a więc używali opieki prawa, że wreszcie posiadali swoje dziedzictwa, swoje własności ziemskie, które jeśli dobrowolnie opuścili, a wezwani nie wracali, pan mógł wydzierżawić nowemu posiadaczowi.

Ogólnie polscy włościanie wieli wolność swoich osób, mogli być pozywani i sądzeni, mieli swoje ziemskie własności. Atoli pozbawieni wolności politycznej, nie mający swojej, albo ze szlachecką połączonej reprezentacyi, rozprószeni, stracili wszystkie rękojmie bronienia coraz więcej uszczuplanych, podkopywanych, a w końcu całkowicie zniweczonych swobód.

Im bardziej powaga króla słabnęła, tem bardziej każdy szlachcic stawał się sam królem. Kiedy król Ludwik w roku 1374 targował się w Koszycach, aby jedna z jego córek utrzymała się przy tronie, musiał na to zezwolić, żeby chłop szlachecki nie płacił więcej podatku jak 2 grosze z łanu tak zwanego poradlnego. Ile szlachta zasłaniała chłopa od ciężaru publicznego, o tyle sama więcej z niego ściągała.

Niedługo potem zdało się szlachcie, że Kazimierz Wielki uczynił chłopstwo zanadto swawolnem, zastrzegając, że i dwóch corocznie z jednej wsi mogło się wyprowadzić.

Za Jana Albrechta r. 1496, stanęło na tem, że dosyć być miało na jednym. Pamiętano także i o synach chłopskich i orzeczono, że kiedy kmieć ma tylko jednego, ten powinien zostać na roli, gdy zaś ma ich więcej, może z nich jeden odejść już to na naukę szkolną, albo rzemieślniczą, już to na służbę.

Odjęto więc już wolność wszystkich synom, a zostawiono

ją tylko jednemu, jakby na pamiątkę szczęśliwszych czasów. Aż do tej ustawy tylko osiadły gospodarz był przywiązany do swej gleby; odtąd zaś włożono jarzmo niewoli na cały stan włościański.

Włościanina zamienić zwolna na rzecz, na niewolnika, przykuć go do ziemi, gdzie wziął życie, odebrać mu prawo polityczne, cywilne, a nawet samo przyrodzone, przeszkodzić, iżby nigdzie nie znalazł schronienia, zabronić mu umysłowego wykształcenia, odmówić opieki prawa, wykluczyć ze społeczności, znikczemnić, zbezcześcić i przytłumić w nim człowieczeństwo, mieć tylko żyjące machiny, przyobleczone w ludzkie kształty: ten był wynik praw, pisanych samowolnie przez stan panujący wobec włościan.

Niekiedy miasta mogły uciekającym włościanom dać przytułek, udzielić prawa miejskie. Przenikliwy stan szlachecki uchwala przecie zaraz i zaostrza prawo przyjmowania włościan przez miasta.

Jakoż sejm w r. 1496 zabrania miastom dawać schronienie włościanom, szukającym zarobku, nakładając za to karę 14 grzywien. Stanowi on, że po miastach szukający pracy włościanie mają być chwytani i używani do budowania twierdz, a to dlatego, aby szlachta nie cierpiała przez niedostatek sług i robotników.

(Ciąg dalszy nastąpi).



BOROWNO.

(Opowieść z przeszłości).

Jeszcze nie wznosił się ogrom murów klasztornych, których pierwszą cegłę książę Opolski Władysław położył; jeszcze obraz Przenajświętszej Dziewicy, na cyprysowym stole od świętego Apostoła Łukasza wymalowany, cerkiew bełzkiego zamku ozdabiał; kiedy już na Jasnej Górze i z przyległego gródka Częstochowy i z całej okolicy zbierały się każdej niedzieli i święta tłumy pobożnych, bo to miejsce niby przed blaskiem przyszłej chwały jaśniało i przysposabiało się niejako do tej wielości ludu, który bezustannie klasztor, strażnicę cudownego obrazu odwiedza.

Miejscowa tradycya głosiła, że kiedy święty Wojciech, pragski Arcybiskup, wezwany od Chrobrego Bolesława, pospieszał dla nawrócenia pogan pruskie zamieszkujących krainy, przepędziwszy na tym skalistem wzgórzu kilka godzin na modlitwie, nagle a jakby w cudownem zachwyceniu, zwracając się do przytomnych, wykrzyknął:

— „Zaprawdę mówię wam bracia w Chrystusie, to miejsce dzisiaj posępne i odludne, zanim trzy wieki upłyną zaciniejsze i weselsze będzie od wszystkich innych w chrześcijańświe; krocie ludu z tych nagich wzgórzy wznosić będą błagalne hymny ku Najwyższemu, a góra stanie się jasną, łaskami i opieką Najświętszej Matki“.

Stąd też okoliczni mieszkańcy w trop słów świętego Biskupa górze „Jasnej“ dali nazwisko, a magistrat miasta wzniósł na jej szczycie kaplicę, w której w wielkim ołtarzu obok wizerunku świętego męczennika, obraz Niepokalanej Dziewicy w Krakowie nabyty, zawiesił.

Otóż dnia 8 września 1242 roku, w dzień uroczysty chrześcijaństwu całemu, Narodzenia Bożej Matki, w wspomnionym kościółku zebrał się licznie lud z Częstochowy i siół pobli-

skich, kapłan z przyległego grodowego miasteczka Kłobucka, świętej wiary tajemnice w hołdzie niósł Twórcy, przerwawszy je zaś, według ówczasowego zwyczaju przy poświęceniu chleba i wina, wstąpił na kazalnicę i wymownemi słowy z przeczytanej Ewangelii wyprowadzać zaczął zasady czystej chrześcijańskiej moralności. Przekonywające dowody i prawdy na Piśmie świętem oparte, rady mądre i łatwe, czystym i miłym wymówione głosem, nie dziw, że szły prosto w serca słuchaczy: w jednych utwierdzając zamiłowanie dobrego, innych do skruchy za grzechy skłaniając; gdy zaś kończąc rzecz swoją, wyrzekł:

— „Wy, których umysły zawistny szczęściu waszemu szatan owładnął, wy, którzy zabaczywszy o najświętszych obowiązkach, nietylko chrześcijan lecz ludzi, pogardzacie tą braterską miłością jaka was jednoczyć powinna, dzieci jednej matki, tegoż domu mieszkańcy, zamiast poufnej przyjaźni nienawiść ku sobie w sercach chowacie, upamiętajcie się, wspomnijcie na przyszłość, na straszny sąd Boga, otrząśnijcie się z szału występnych uczuć, podajcie sobie nawzajem pojednania dłonie“.

Otóż ledwie tych słów domówił, dwaj rycerze niedaleko kazalnicy stojący, niby w trop napomnienia, podali sobie ręce, uścisnęli i pospołem niby jedną i tą samą myślą natchnieni, postąpili do wielkiego ołtarza, na kolana upadli i nie zważając na ogólny podziw przytomnych, nabożnie i gorąco zaczęli się modlić.

Ci zaś rycerze, byli to znani w całej okolicy młodzieńcy, Janusz i Spytko Zaklikowie herbu Trąba, bracia rodzeni, dziedzice na Zakliczynie, Borownie i innych w Małej Polsce majątkach.

Trudno zaś było znaleść młodzieńców równie przykładnego życia, równie miłujących się, jak dwaj wspomnieni bracia; wychowani pod dozorem pobożnej matki, wiedzeni radami mądrego ojca, niegdyś z ramienia królewskiego starosty i kasztelana wrocławskiego, miłowali się w dzieciństwie, kochali w wieku dojrzalszym, oba w jednym czasie i z tych samych rąk odebrali zaszczyty rycerstwa, oba pospołem dzielili trudy wojenne, gdy rozkaz monarchy, Kędzierzawego Bolesława, powołał ich przeciw najezdniczym Niemcom ze Śląska. Nie chcieli nawet według powszechnego zwyczaju rozdzielić między siebie ojczystej puścizny; skłaniającym ich do tego przyjaciołom i krewnym mówili:

— Alboż nie jesteśmy dziećmi tych samych rodziców? mienie jednego nie należyż drugiemu, na co mamy rozgrani-

czać się w spuściźnie, czy przysiągłszy na grobie ojca dozgonną miłość i zgodę, nie potrafimy ich do końca życia dochować?

I obietnice szlachetnych młodzieńców czczemi nie były, cała kraina przyznawała to. Od dzieciństwa pod jednym dachem żyjąc, ni raz braterskiej nie zakłócili przyjaźni, ni raz wola i chęci jednego z chęciami drugiego w sprzeczności były; od niejakiego to czasu dopiero, od trzech miesięcy mniej więcej, w postępowaniu dwóch braci baczne oko mogło zmianę dopatrzyć, nie żeby poufna zgoda zerwaną była, lecz w ich domowem pożyciu nastąpiła jakaś oziębłość, niezwykła układność, ten pierwszy szkopuł przyjaźni.

Jako epokę owej zmiany kładziono czas, w którym w ojczystym ich grodzie, Borownie, osiadła piękna krewniaczka Bronisława, córka Ottona Grabi z Pilicy, sierota po obudwu rodzicach.

Gdy pobożny kapłan świętą Ofiarę zakończył, a dla złożenia uroczystych szat udał się do zakrystyi, dwaj bracia pospieszyli za nim.

— Ojcze Michale, rzekł starszy, pięknie dzisiaj kazałeś, twoje słowa niby manna niebieska sercom naszym były, niby rosa wiosenna pokrzepiająca urodzaj upadły w głębi naszych uczuć, złe niszcząc, rozkrzewiły dobre. Niech ci je Pan Bóg nagrodzi, szponom czartowskim dwie bratnie dusze wyrwałeś.

Starzec w dziękczynnej modlitwie wzniósł oczy ku niebu, i skromnie odparł:

— Nie mnie to mili moi synowie dziękować winniście, lecz temu, który wymową natchnął, podał w usta wyrazy, trafiające do przekonania waszego, Bogu jednemu cześć i chwała niech będzie. On, nie ja waszym zbawcą...

— To prawda, odrzekł młodszy z braci, pobożnie bijąc się w piersi, dlatego też na znak mojej wdzięczności przyrzekam, że od dziś za miesiąc najdalej zawieszę w tym kościele przed ołtarzem Bożej Dziewicy szczero srebrną lampę.

— A ja drugą, odpowiedział Janusz, i obiedwie na pamiątkę cudownie powróconej naszej miłości braterskiej, niechaj wiecznie goreją.

— Przyjmuję waszą ofiarę, odparł kapłan, nie dla wielkiej jej ceny, lecz jako dowód waszej zgody, wdzięczności dla Stwórcy i chrześcijańskiej cnoty. Wiecie bowiem z słów ewangelii, że grosz wdowi przed majestatem Bożym znalazł większą zasługę niż hojne dary bogacza.

— Ofiara nasza, miły księże Michale, rzekł Janusz, szczera

i próżną światową nie nasunięta mamoną. Owszem, w miarę łaski Bożej daleko być większą powinna, jakoż dar według naszej możności radzi jesteśmy powiększyć, dlatego obiecuję ci w ciągu roku najdalej zapomódz tutejszą zakrystyą bogatym jedwabnym ornatem; miły on będzie Panu zapewne, bo go czyste dziewicze serce złoży w dani i dziewicze dłonie wyszyją.

Młodszy brat lekko brwi ściągnął, uważał to Janusz i szybko dodał:

— Obadwaj będziem prosić o to.

Kapłanowi nie obce zapewne były uczucia obu młodzieńców; kiedyś nauczyciel, teraz ich spowiednik i doradzca, z nieutajoną radością poglądał na wracające przywiązanie i ufność, a mówił:

— Otóż znowu jesteście takimi, jakimi widziałem was lat wiele, jakimi być w mojej obecności, na grobie rodziców przyrzekliście; krótkie były dnie przeciwności, uleczone, nauką powinny stać się dla was, cierpienia tych dni spodziewam się zbyt się wryły w waszą pamięć, zbyt zakłócały sumienia i spokój dusz, abyście ich powrotu zapragnęli kiedy, kto wie, może też chwilowa rozłąka umyślnem była dopuszczeniem niepojętego w swych zrządach Boga, dla przytarcia waszej cnotliwej dumy, i pokazania ile są wątłemi obietnice ludzkie, gdy ich silna ufność w miłosierdziu nieba nie popiera. Lecz czemu przypominać złe, które minęło? Bóg roztworzył wasze oczy, dał widzieć otchłań, w którą w zaślepieniu waszem biegliście, na dobrą naprowadził drogę, nie opuszczając już jej, bądźcie godnymi siebie i szlachetnych waszych rodziców.

— Amen, dodali, zginając przed kapłanem kolana, obaj bracia. Starzec złożył na ich głowie ręce, pobłogosławił, rady i przestrogi powtórzył, młodzieńcy obiecali zastosować się do nich, i pospołem dosiadłszy rumaków, opuścili Jasną Górę.

W drodze mówił Janusz Spytkowi:

— Wyznaj jednakże bracie, że dziwne było twoje postępowanie, dla czegoż nie wyznać co dolegało sercu, obawiałżeś się nie znaleść w niem współczucia, kiedyż to zawiodłem twą ufność?

— Prawda, odparł Spytko, ależ zarzuty jakie mnie czynisz Januszu, mógłbym właśnie przeciw tobie odwrócić, i tyś stronił odemnie i taił myśli. Ależ czemu mówić o tem, od dzisiaj wszakże wszystko ma być inaczej.

— Tak, mówił Janusz, dzień dzisiejszy podwójnie winien być świętym, a nawet czemuż nie ma stać się i epoką w ży-

ciu naszem? Przysięgliśmy ojcu Michałowi, że jak dawniej i teraz nie będzie dla nas żadnej tajemnicy... dlatego też wyznaj, tu głos jego zadrżał nieco... lubisz Bronisławę.

— Nie będę ani chcę taić... lecz też i twemu sercu nieobojętną jest ona.

— Bóg widzi tak jest, i to co boli i dręczy, co dręczyło do ninie, obydwa ją lubujem, obydwom bez niej życie byłoby nudne i smutne.

Głucho westchnął brat młodszy, świętą prawdę powiedziałeś Januszu, a przecież podwójnie przysięgliśmy sobie dozgonną przyjaźń i miłość, co czynić więc, jaki środek wziąść.

— Co czynić? nie wiem... moja głowa tępieje, porady nie daje... jeden z nas tylko może jej mężem być, lecz który odstąpi?

Milczeli obydwa chwil kilka... w oczach smutek, głębokie marszczki na czole, pierwszy Spytko poszepnął:

— Tyś starszy bracie.

— A więc, — skwapliwe było pytanie.

Spytko zarumienił się, pobladł i jąkał.

— Jako starszemu naczelnikowi domu i rodu, winienem uszanowanie i uległość, ustąpić winienem.

Zaiskrzyło się oko Janusza — lecz ty bracie, co uczynisz wtedy?

— Ja? alboż możesz pytać? świat szeroki i długi, znajdę dla siebie ustronie, klasztor... lub też... nieraz już ta myśl przychodziła mi do głowy; o wojnę u nas nie trudno, dosiędę konia, wyprawię się na pogańską pruską dzicz. Bóg litościwy nie da cierpieć długo, a zbawienia nie poskąpi, wszakże w walce za jego sprawę głowę położę.

Lekko wzdrygnął się Janusz; — ty miałbyś zginąć bracie... bezemnie na wojnę pójść — na to nie zgodzę się nigdy.

— Jestże przecie inna jaka rada?

Podumał starszy — zaiste srodze Bóg nas doświadcza, głowa boli, rozum błąka się... jest to otchłań, z której napróżno chcesz się wydźwignąć, w której niema iskierki nadziei, ratunku.

— Twoje pierworodztwo mówi za tobą.

— Istniejeż ono między nami Spytku... przysięga dozgonnej przyjaźni możeż cierpieć jaką wyższość? ślepy traf losu, przypadek nie stanowiż jej tylko, nie, na pamięć zmarłych rodziców, przysięgam ci, korzystać z niej ni chcę, ni będę, innego trzeba szukać środka, i rozpogodziło się nieco jego czoło, rozjaśniło oko, alboż nie mamy go? przebóg żywy, dlaczegóż

nie wyznać naszych uczuć Bronisławie, czemu nie działać wręcz śmiało, otwarcie, czemuż wreszcie nie powierzyć jej naszego losu, niechaj wybór uczyni.

Zgodził się chętnie na projekt starszego młodszy brat i dodał:

— Lecz odrzucony co uczyni?

— Co? i to obmyśleć winniśmy... i na to słowo sobie dać trzeba; twój poprzedni projekt nie zgadza się z mem przekonaniem, rozpacz grzeszną rzeczą przed ludźmi i Bogiem, dlatego przyrzeknijmy sobie, że opuszczony nie poda serca smutkowi, owszem, że szczęśliwemu i jej, dobrym bratem i przyjacielem być nie poprzestanie.

Chwilę wahał się Spytko, ofiara z swych uczuć trudniejszą mu była zapewne niż bratu, lecz gdy ten wyrzekł:

— Wątpisz-że o sobie, bracie?

Podał na znak przyjęcia projektu swą rękę.

II.

Pięknym był w owych czasach borowiński zamek; rezydencya możnego szlacheckiego plemienia, tak obszernością budowli, jak i warownem położeniem swojem słynął w całej lachickiej krainie. Zbudowany na niewielkiem wzgórzu, właśnie w załamku obszernego jeziora, które w części istnieje do dzisiaj, bo w większej dla zyskania na miejscu osuszonem zostało, od strony suchej okrążony był wysokim murem i podwójnemi fosami, na których zwodzone spoczywały mosty; po krańcach muru, jako też od strony jeziora, sterczało kilka baszt i wąskich wieżyczek z polnego lub ciosowego wywiedzionych kamienia.

Mieszkanie dziedziców grodu, na końcu dziedzińca z modrzewia wybudowane, opatrzone było wysokiemi a wązkiemi oknami, w których rzadko gdzie szyby ogromnej w owych czasach wartości błyszczały; lecz albo mocne żelazne kraty je strzegły, lub też cienki oliwą napuszczony pergamin, zapełniał; do dworu przytykała wieża tak zwana strażnicza, górowała ona nad wszystkiemi budowlami grodu; na jej płaskim wierzchu bezustannie czuwała boczna straż, rycerze w ciężkich niemieckich zbrojach, z oszczepem w dłoni, z szablą u boku, tam też szamotana wichrem, powiewała chorągiew o rodzinnym herbowym klejnocie Zaklików: dwóch trąbkach jedwabiem i złotem wyszytych. Podobne temu znamie błyszczało i na marmu-

rowej tablicy, ozdabiającej główne wejście do zamku; napotkałeś go też wyryte na ciosowym kamieniu na basztach i wieżach.

Mieszkanie załogi i służby dworskiej, jako też hojnie zaopatrzona w różnorodny zaczepny i odporny oręż, zbrojownia, pełne dzielnych rumaków stajnie, i inne gospodarskie budowle, wszystkie wywiedzione z wapiennego kamienia, obficie w okolicy się znajdującego, okrążały dziedziniec; w przerwach zaś między niemi a murami zamku, starannie uprawne ogrody zasadzone były warzywem lub owocowemi drzewami z Włoch i innych ciepłych krain, świeżo od Benedyktynów sprowadzonemi w te strony.

Przeszedłszy sień, czwartą część dworca zajmującą w przestrzeni, dwaj bracia weszli do długiej a wązkiej komnaty, tak zwanej sali rycerskiej. Całą jej ścianę przeciwległą oknom zdobiły familijne portrety naturalnej wielkości, a więcej niż waga złota płacone; w przedziałach między niemi błyszczały zbroje stalowe i miedziane, bogato srebrem zdobne pancerze, szyszaki strusiemi piórami lub włosiem pokryte, okrągłe pawęże i tarcze o rodzinnych herbach; w innych miejscach zatrzymywały twe oczy przytwierdzone do ściany całe łby jeleniów, turów i żubrów, na olbrzymich rogach powiewały rycerskie szarfy, misternie wyszyte rękami córek, małżonek, lub bogdanek dziedziców miejsca; dalej złożone na krzyż sterczały łuki i skórzane sajdaki strzał pełne; pomiędzy oknami z strony przeciwnej, symetrycznie ułożone proporce, kopie w pęki związane, kusze, berdysze, oksze i topory o jednym i dwóch ostrzach, dzidy o dwóch toporkach i długich żelcach, włócznie to zwyczajne, to nabijane gatunkiem piły, dla rozrywania ciał ludzi i koni, przenosiły myśl twoją w owe czasy, gdy właściciele grodu, na czele walecznych rot, zbrojną żelazem dłoń kąpali w krwi przeciwników, gdy za rozkazem Chrobrego, Szczodrego i Krzywoustego Bolesławów przewagę sarmackiego oręża nieśli w strony dalekie nad bystry Dniepr, w puszcze nadbałtyckie, ponad Dunaj, Elbę i Salę.

Dwaj bracia przeszli społem rycerską salę, a wstrzymali się dopiero w jej końcu, gdzie zamykając szereg familijnych portretów, wisiały wizerunki dawno już zmarłych rodziców. Ojciec dał gardło w ostatniej wojnie niemieckiej, odpierając najazd cesarza Rudobrodego i garnącego się Spluwacza do berła, którego piastować nie umiał. Matka nieutulona po tej stracie, przywdziawszy wdowieńskie szaty, zakończyła swe życie w panieńskim klasztorze Benedyktynek znajdującym się na górze

świętej Katarzyny. Przy tych drogich sobie obrazach, rycerze według codziennego zwyczaju, pobożne Ave Maria za dusze zmarłych odmówili, i uścisnęli się serdecznie, niby tym dowodem braterskiej miłości chcieli uczcić pamięć rodziców, a przeszli do następnej izby, gdzie stał dębowy stół makatem i białym płótnem pokryty, a przygotowany do obiednej strawy.

Jakoż służba za rozkazem Janusza pospieszyła na jej wniesienie. Zebrało się kilku dworskich i matron, do pańskiego stołu prawo mających, i właśnie gdy drzwiami od sali rycerskiej wchodził marszałek domu, wiodąc za sobą dwóch domowników przynoszących na srebrnych misach potrawy, drugiemi drzwiami, a do górnych komnat dworca wiodącemi, poprzedzona od dziewczyny służebnej, a w towarzystwie swej ochmistrzyni, rodowitej szlachcianki, weszła piękna Bronisława z Pilicy.

Siedmnastoletnia była to najwięcej dziewica; wzrost jej hoży, smagły, niepospolita uroda, ale dziwny jakiś smutek rozlany na nadobnych licach; oko błyszczało niby łzą i białe czoło pokrywała jakby ciężka żałoba, jakby tęsknota myśli i uczuć.

A i jest temu przyczyna. Nie ojcem los dla młodej dziewicy, lecz surowym od dawna był tylko ojczymem. W ciągu jednego roku postradała rodziców, fortuna przeszła w ręce chciwych opiekunów lub dalekich krewnych, sierota na obszernym świecie tułać się musi; wprawdzie pomoc teraz i opiekę znalazła. Dom braci Zaklików jej powinowatych, niby własnym dla niej jest; dobrze tu, miło, wszystkie wygody a i władza pani, gdyby zapragnęła byłaby, lecz czyż to wynagradza ciężkie straty dziewicy? Może i inna jeszcze przyczyna troski znajdzie się, młoda ona, dziecię prawie, ale rozum, rozwaga i zastanowienie są niewiasty, umie czytać w sercach; doświadczonej cierpieniem, mogłyż ujść postępki dwóch braci, ich nagła obojętność dla siebie, przyczyna może dla niej nie tajna, wyznać jej sobie nawet nie śmie, ale możesz ją z myśli odepchnąć, z serca usunąć, a któż cierpiącej pomoc da, radą dopomoże, wesprze słowem poufnem?!

Ah! ciężkie życie sieroty!

Wejście dziewicy lekki rumieniec wywołuje na licach dwóch braci, starszy podaje jej rękę, a na zaszczytnem miejscu przy stole posadzi, sam też siądzie. Młodszy przy nim; ta drobna okoliczność na pozór wyraźnie pociesza sierotę, radość w oku zabłyśnie. Po raz to pierwszy bowiem od kilku miesięcy, młodzi rycerze usiedli przy sobie, zwykle niby stroniąc od siebie,

wybierali miejsca odległe; radość dziewczęcia powiększa się, widząc, czego dawno nie było; rozmawiają z sobą poufnie, przyjaźnie, układają plany na dzień cały, jutro polowanie, pojutrze wycieczkę w sąsiedztwo. Przy końcu obiadu jednak, rozmowa ich słabnąć zaczyna, nie żeby dąs jaki położył jej koniec, sprzeczka lub co podobnego, lecz niby jakaś myśl cierpka, wspólnie dzielona... jakaś trwożna tęsknota co zasępia ich czoło, wesołość tłumi.

Po skończonym obiedzie i po krótkiej dziękczynnej do Twórcy modlitwie kapelana, Spytko pociągnął brata w framugę okna.

— Pomnisz Januszu naszą umowę... czas jej zadośćuczynić.

— Lecz któż ją wypełni? Kto jej nasze projekta objawi? ja nie czuję w sobie dość sił.

— I ja też nie, poszepnie Spytko; kłopot obu wielki, nie pomyśleli układając piękne swe plany, o tej zawadzie.

Bronisława wstawszy od stołu, chwilę jeszcze zatrzymuje się w komnacie, ażeby nie przerwać rozmowy braci, staje w odległem oknie, widok z niego przestronny a piękny: na dziedziniec zamkowy i jego sady, i na drogę przez zielone łąki i niwy, bujnym plonem pokryte do przyległego miasteczka Mstowa wiodącą. Na tej drodze z nagła, w małem oddaleniu od grodu, ukaże się orszak rycerski, ludzi mniej więcej dwudziestu, tętnią kopyta rumaków, brzęczą szable, głucho szeleszczą zbroje, i trąbka rozgłośnie zaśpiewa przed zwodzonym mostem, niby w prośbie o jego spuszczenie.

Lekko zadrży dziewica, tyle cierpień w życiu ją dotknęło, od tylu ludzi przyszło znosić troski, że widok nowych twarzy trwogą przejmuje, ażaliż nowych wrogów nie ujrzy. Dwaj bracia szybko wyjdą na przyjęcie nieznajomych, może i radzi z ich przybycia, bo ono na jakiś czas przerwie ich kłopot; dziwne to istoty ludzie! niepewności nie lubią, a ileż razy sami jej się dobrowolnie poddają!

Pierwszy z gości, który wszedł do komnaty, był to grabia Jaksa Gryfowczyk, rycerz jednakowo znany w całej krainie, tak z gromnego majątku jak i rodu, który starożytnością ród książęcy panujący Piastów przewyższał, bo Popielów zasięgał i od nich wywodził się, jako też pobożnością, doświadczoną cnotą i rycerskiemi dziełami, których nie w jednej okazyi liczne dał dowody. Grabia zaś nie pierwszej już młodości człek; czarne włosy rzęsisto przeprusza siwizna, ale dzielność wielka, oko błyszczy młodzieńczym zapałem, postawa okazała, nakazująca

uszanowanie. Co do ubioru, dziwny on, a przynajmniej niezwykły w tych stronach; opisać go winienem.

Gruby stalowy pancerz na piersi, czerwony jedwabny przepasuje go pas, za nim błyszczy puginał w srebrnej oprawie, przy nim różańca kokosowe paciorki, na piersi na złotym łańcuchu w miejscu wizerunku króla, lub miłej sercu osoby, ośmiokończasty krzyż wsparty na muszli pielgrzymiej, na barbach gruba, biała, wełniana opona, na której podobnież ośmiokańczaste z czerwonego sukna wycięte, błyszczy znamie zbawienia... szablę rycerza, również jak miszurkę ozdobną grabiowską koroną i czarnym pióropuszem, niósł giermek, młody ośmnastoletni chłopiec.

Po zwykłych powitaniach, grabia wskazując na krzyż swej szaty, rzeknie do dwóch braci:

— Przebaczcie młodzi przyjaciele, że na dzisiejszą noc gościnności w waszym grodzie zażądam, alež droga przedemną daleka, koni i ludzi oszczędzać winienem, jadę bowiem do Niemiec, stamtąd zaś w orszaku cesarza Konrada, jeżeli Bóg zdrowia i siły użyczy, do Ziemi Świętej. Nie tajno wam bowiem, iż Saraceni w przeszłych bojach zwalczeni, teraz głowy podnoszą, uciskają wiernych wyznawców świętej naszej wiary, ogniem i mieczem niszczą ziemię krwią Zbawiciela naszego zroszoną, a okupioną męztwem Godfryda z Bulionu. Co więcej, w dumie swojej bez granic myślą i o opanowaniu miasta z grobem Chrystusa, Świętego Jezuzalem; aby tamę dumnym ich zamiarom położyć, ojciec święty krucyatę ogłosił, cesarz niemiecki i król francuski, zachęceni jego radą i prośbą, mają w niej wziąć udział, tysiące rycerzy poszło za ich przykładem i przyjąwszy znamię, które na mych piersiach widzicie, chcą zaciętym bojem barbarzyńców poskromić lub zginąć. Przyszła wiosna ujrzy nas na brzegach syryjskich i spodziewać się należy, że przy pomocy Najwyższego, nowa krucyata, równie pomyślnym jak pierwsza, uwieńczona będzie skutkiem.

Młodzi Zaklikowie chętnie w swym domu gości przyjmują; kiedyż to dworzec polskiego szlachcica przed nimi się zamknął? wieczorem zaś, gdy grabia z towarzyszami na spoczynek się udał, wyrzekł Janusz do Spytka:

— Ażaliż to nie oczywisty palec Boży w przybyciu krzyżowych wojowników do naszego domu, właśnie w dniu, który ma o losie naszym stanowić, ja przynajmniej tak widzę, i gdyby Bronisława pominęła mię w wyborze, los mój rzucony, przyjmę święty znak zbawienia, i z grabią Jaksą udam się na obronę grobu Zbawiciela.

— Taż sama była i moja myśl, odpowiada Spytko, nie traćmy zatem czasu, chodźmy do niej, wybrany będzie jej mężem, odrzucony niebieską koroną wynagrodzi sobie ziemską pomyślność.

Dłoń w dłoń, dwaj młodzieńcy weszli do komnaty pięknej pokrewnej; siedziała w obszernem krześle, przed nią w krosienkach robótka, jedwabna stuła, przeznaczona do jasnogórskiej świątyni. Mało się nią przecież zajmuje, tajne uczucia, bolesne wspominki i marzenia są przeszkodą; nieraz więc igła w połowie ściegu niewzruszoną zostanie, oko zachodzi grubą łzą, i pierś się wzdyma westchnieniem.

Wejście rycerzy nie uspokaja dziewicy, owszem powiększa trwogę; instynktem wiedziona przeczuła, że niezwykłe odwiedziny mają przyczynę, a jaka? domyśla się... lecz co odpowiedzieć, jakie postanowienie wziąć, nie wie sama, serce bije gwałtownie, krew z dziwną siłą obiega po żyłach.

Janusz ujmie jej rękę, w oku silne postanowienie błyszczy, postanowienie to jednak niby febryczne, dość zapewne czasu, nie mało pracy i władzy nad sobą wymagało, aby zdobyć się można było na nie.

Mówi zaś:

— Bronisławo, droga moja krewniaczko, chciej mnie posłuchać cierpliwie, a nie dziw się i nie obrażaj słowami, jakie ci przyniosę, idzie tu bowiem nietylko o szczęście i przyszłość moją i Spytka, ale co nam więcej waży, i o twoją, pozwól więc, że ci będę mówił jak na dobrego krewniaka, i człowieka lubiącego prawość przystoi, szczerze, otwarcie: jesteś młoda, piękna i dobra, prędzej czy później o twą rękę ozwą się co najznakomitsi rycerze i panowie tej krainy, przebacz jednak, że ja ze Spytkiem wszystkich uprzedzę, nie chcę ci bowiem taić, lubujemy cię oba, dla obu nas nietylko krewniaczką i siostrą, ale niby świętym aniołem jesteś, życie bez ciebie, toż ciało bez duszy, nudne i smutne. Jeżeli więc nasze uczucia podzielasz, jeżeli nie jesteśmy ci obojętni, a choć w części tyle mili jak miłą nam jesteś, zechciej powiedzieć; boć na co niepewnością udręczać, czemu godzinę szczęścia naszego oddalać, życie krótkie i nieraz bolesne, niechże w niem będzie rozkoszny kwiat, którego woń je upiękni, zrób wybór, wskaż z dwóch nas tego, komu rękę swą oddać pragniesz... ależ żaden wzgląd niech nie kieruje twojem postanowieniem, żaden prócz serdecznego jeśli jest uczucie, gdyż przysięgliśmy, że twa wola prawem naszem będzie, a ten kogo odrzucisz i bratu i tobie dobrym bratem a przyjacielem dozgonnym być nie przestanie...

Milczało chwilę dziewcze, tylko jej różowe usta lekko poruszyły się niby w tajemnej modlitwie i serce biło gwałtownie, a modre oko wzniosło się w górę, jakby z niebiosów błagając pomocy, ale i ona czuje, że raz koniec przykrej niepewności położyć wypada, i rzeknie:

— Zaiste, część kiej rzeczy żądacie odemnie, mili krewniacy, jest ona prawie nad me siły i możność, lecz wola Boga niech się dzieje; zaufanie zaufaniem, szczerość szczerością odpłacić winnam... pragniecie mego słowa... głos jej zadrżał, ja ciebie lubuję Januszu...

Pobladł młodszy brat, zimny dreszcz obiegł po ciele, zdawało się, że omdlenia był bliskim, gdyż musiał wesprzeć się o ścianę izby; dojrzy to dziewcze, i pospiesznie dodaje:

— Bracie Spytku, Wszechmogący Bóg, co patrzy w me serce, w głębi mych myśli czyta, On wie, że ja i ciebie lubuję.

— Tak, lubuję cię, lubuję was obu, mówi dalej głosem silniejszym, niby pierwszą dziewiczą przełamawszy wstydliwość, wszystkie swoje uczucia, co dotąd tyle gnębiły i bolały duszę, chciała wylać na jaw, a nie kłamię, że was lubuję, ah! dobrze i nazbyt czuję, że wy mnie drodzy, że życie bez was życiem w połowie byłoby, sierotą przyjęliście do waszego domu, dalekiej pokrewnej bracią i opiekunami jesteście, jej dobro na pierwszym dla was względzie, wdzięczność i własna skłonność do miłości wiedzie, ale, który mi z was milszy, który droższy sercu, kogo wybierając wybrałabym, sama nie wiem.

Daremnie bracia więcej stanowczej odpowiedzi żądają, nie sposób jej otrzymać, dziewcze rzewnemi zalewa się łzami, a jak przedtem mówi ciągle, ja nie wiem.

Starszy brat wtedy bierze młodszego na stronę, kilka chwil z cicha coś mówi do ucha, ten słucha uważnie i odpowiada:

— I na to zgadzam się całkiem.

Janusz znowu do dziewczęcia przystąpi.

— Jakkolwiek, droga Przecławo, nie rozstrzygnęłaś naszego kłopotu, dziękujemy ci za oświadczenie, jakie przyniosłaś, owszem, aby prawdę rzec, wahanie się twoje miłem jest dla nas, bo ujmy ni jednemu, ni drugiemu nie przynosi, a serca nie krwawi. Przecież gdy dziś przy ołtarzu Bożym w jasnogórskim kościele i tu przy wizerunku zmarłych rodziców przysięgliśmy, że stanowczo niepewność naszą rozstrzygniem, winniśmy to uczynić; chceszże tedy przyjąć projekt, jakim wła-

śnie przed chwilą Bóg w miłosierdziu swojem natchnął mój umysł?

— Jakiż on, trwożnie zagadnęła dziewica.

— Ułożyliśmy, że odrzucony od ciebie miał się udać na świętą z grabią Jaksą wyprawę, teraz chcemy oba pojechać.

— Dla Boga! — wykrzyknęło dziewcze z przestrachem, jażż nieszczęśliwa mam być zgonu waszego przyczyną... czyliż na to weszłam do tego domu, aby żałobę, którą jestem pokryta i nań rozciągnąć?!

— Mylisz się miła krewniaczko, spokojnie odrzekł jej Janusz, twoje smutne serce w smutnych barwach widzi nasz projekt. Wyprawa nasza na obronę Chrystusowego grobu nie jest wypływem rozpaczy, lecz świętym obowiązkiem chrześcijańskim, Bóg poszczęści, że i jemu się zasłużymy, i silną mam nadzieję powrócimy oba żywi i zdrowi, a wtedy o wybór kłopotu nie będzie, bo temu, który w chlubnej walce pierwszeństwo otrzyma, oddasz rękę... gdyby zaś rycerskich czynów trudny był sąd, i na to znajdzie się sposób, ten będzie twoim mężem, który z świętej chrześcijanom rzeki Jordanu pierwszy wody zaczerpnie. Czyliż zgadzasz się na projekt?

Dziewcze po małym oporze przyjęło warunek; w owych czasach chrześcijańskiej prostoty i rycerstwa, nie był on nadzwyczajnym, ileż to razy wiedziała o tem z legend i wieści, jako dank męstwa, piękność oddawała swą rękę szczęśliwemu rycerzowi. Ileż razy, gdy kilku współzawodników znalazło się, rozstrzygali spór o miłość bogdanki walką na turniejach, lub z nieprzyjaciołmi kraju albo wiary. Była to rzecz prosta, sąd Boski jak mniemano, nikt się nie dziwił, nikt go nie ważył się nadwyrężać.

Gdy więc nazajutrz grabia Jaksa za gościnę dziękując chciał się udać w swą drogę, zatrzymał go Janusz Zaklika.

— Szlachetny panie, — rzekł, — mam prośbę do ciebie.

— Jakaż ona? — zapytał rycerz.

— Jeden jeszcze dzień pozostań w tym zamku.

Zakłopotał się nieco grabia, wiesz mój młody przyjacielu, jaka droga przedemną, nie cierpi zwłoki, zwłaszcza, że termin wyprawy cesarskiej bliski, nie chciałbym go chybić.

— Wiem o tem, i nie ważyłbym cię wstrzymywać bez żadnego powodu... i ja i mój brat chcemy wyprawę podzielić, służyć pod twem dowództwem. Konie, zbroje i ludzie służebni gotowi, alež majątek wymaga urządzenia, zwłaszcza, że nasza krewna w zamku zostanie... dlatego o jeden dzień prosimy.

Grabia uścisnął ręce młodego Zakliki; nie jeden lecz dwa więcej dni chętnie wam daję, zwłoka nie może być przykrą, gdy takich jak wy wojowników świętej sprawie nastręcza, powtórzył uścisk, wzniósł oczy w niebo, i dodał:

— Najwyższemu Panu niech będą podzięki, on natchnął wasze serca godnem chrześcijańskich rycerzy postanowieniem, oby wam więcej podobnych znalazło się.

Dzień pózniej, młodzi bracia z orszakiem grabiego, jak to postanowili, opuścili Borowno, długo przecież tęskny i łzawy ich wzrok zwracał się ku ojczystemu zamkowi, bo z szczytu wyniosłej jego wieży powiewała im w znaku pożegnania biała chustka Przecławy.

III.

Wiemy z dziejów jak nieszczęśliwa dla chrześcijan była druga krucyata; przeszło połowa rycerstwa, nie doszedłszy nawet Świętej Ziemi, w niegościnnej Grecyi, lub w burzliwych Śródziemnego morza falach, grób swój znalazła, spory dowódców, niezgoda między cesarzem a Papieżem, intrygi Francuzów i Greków, udaremniły najświętsze usiłowania, podały gród, serce chrześcijaństwa, Jeruzalem w ręce niewiernych, i skłoniły cesarza Konrada do wydania rozkazu powrotu do Europy.

Ostygł już zapał, pierwsze lata krucyaty cechujący, długie oddalenie od rodzinnej ziemi, niepewność własnego losu i losu rodzin i przyjaciół, wreszcie przekonanie o niemocy ogólnej, najdzielniejsze serca zwątliły, najsilniejszym umysłom odjęły energię; w całym obozie za danym rozkazem powrotu wzniosły się radosne okrzyki... winszowano go sobie nawzajem, i niby po odniesionym stanowczem zwycięstwie, palono ognie radości, wyprawiano biesiady.

Dwaj tylko rycerze miłą innym wiadomość przyjęli ze wstrętem, a nawet z rozpaczą, byli to Janusz i Spytko Zaklikowie.

Dzielni młodzieńcy nie zawiedli oczekiwania grabiego Jaksy... męstwo ich było nieposzlakowane, odwaga niepospolita, w ciągu lat dwóch krucyaty, w krwawych zapasach z wrogiem, nieraz mieli sposobność odznaczenia się, nieraz zyskali danki dowódców. Jednakże zawistny los uparł się niejako, aby najgorętsze ich życzenia zniweczyć, piękne udaremniać projekta. W różnych stronach Świętej Ziemi walczyli; kilkakrotnie rycerska ochota zawiodła ich daleko w pustynie syryjskie, w dzi-

kiej Arabii przestworza, lecz ni razu, nie ujrzeli wód tyle drogich sobie Jordanu, rzeki, od której zawisł los jednego z nich, ręka młodej i pięknej pokrewnej.

Z ponurem więc okiem i czołem, stali przed drzwiami swego namiotu; tęskny wzrok rozstrzelał po obozie, serce trapiła radość towarzyszy; gwałtowniejszy z natury Spytko rzekł bratu:

— Oni się cieszą, radują, kiedy nasze serca zakrwawione smutkiem... lecz czemu dziwię się? albož nie wracają do ojczystych stron... czy każdego z nich nie powita ktoś miły, ojciec, matka, przyjaciel, żona... czyż każdego nie oczekuje luby spoczynek; przyszłość szczęśliwa, wesoła... nas przeciwnie... dwa lata upłynęły w ciągłych bojach... krew hojnie rozlewaliśmy, ostatnimi nie byliśmy nigdy... a przecież czyż rozstrzygnięty nasz los? zaprawdę... szatan przymięszał się do całej tej sprawy. — Bóg nas opuścił.

Janusz mu przerwał:

— Nie bluźnij bracie, świętem nie pomiataj imieniem, ażaliż nie własna to nasza wina, że Najwyższy nie poszczęścił naszym zamiarom, gniew Jego widoczny a słuszny, godziłoż się do świętej sprawy mięszać nasze drobne projekta... przystałoż na rycerzy znamie krzyża przyjmujących walczyć pod jego godłem, dla swego własnego interesu; przecież, dodał z westchnieniem, i mnie to boli i dręczy; odwrót naszych hufców niweczy wszystkie słodkie nadzieje, w labirynt dawnej niepewności rzuca.

Spytko chciał coś odrzec, lecz w tej chwili od wchodowej bramy obozu zabrzękły szable, zatętniały kopyta rumaków... Obaj bracia ciekawi, spojrzeli w tamtę stronę, ktoby nadjeżdżał, byli to Templaryusze; po ubiorach poznałeś... po białych płaszczach i krzyżach, zdobiących szerokie piersi... na czele orszaku jechał komandor; długa czarna broda półkolem okrążała męskie oblicze, u pasa wisiał kokosowy różaniec, na głowie błyszczał stalowy kask, strusiemi piórami ozdobiony, ale czoło rycerza pochmurne, gniew i smutek błyszczały w oku.

— Nie mylną więc była nowina, wyrzekł ponuro do krzyżowych rycerzy zatrzymując rumaka właśnie przed namiotem dwóch braci, z radością opuszczacie tę ziemię, której przyjmując święte znamie zbawienia, poprzysięgliście bronić lub zginąć... opuszczacie ją, gdy święte miasto Jeruzalem w ręku niewiernych... gdy dumny Saracen ostatnią wschodniemu chrześcijaństwu grozi zagubą i niby w urągowisko wam... waszej

wierze i honorowi, pod waszym bokiem nad brzegami Jordanu rozbija namioty.

Na wyraz „Jordan“ wzdrygną się młodzi rycerze, starszy komandorowi smutnie odpowie:

— Cesarz Konrad odwrót nakazał, jeneralnemu dowódcy wyprawy winniśmy posłuszeństwo, bądź pewny jednak, że nasze chęci w przeciwności z nieznośnym obowiązkiem, że chętnie wespołem z tobą spróbowalibyśmy hartu naszych szabli o bisurmańskie czerepy.

— I czemuż tego nie mamy uczynić bracie, rzekł Spytko, przed rozkazem dowódcy idzie nasza przysięga... Templaryusz powiada: że Saraceni koczują nad brzegami Jordanu... jestże lepsza okazya wywiązania się z uczynionego ślubu?

Chciał pobiedz do namiotu, aby do nowej wyprawy się przysposobić, wstrzymał go Janusz.

— Nie Spytku, tak być nie może... wiesz co udaremniło obecną wyprawę, najświętsze chrześcijan zniweczyło zamysły? niekarność, nieposłuszeństwo, sam tylokrotnie sarkałeś na nie... chceszże teraz grzechem, który potępiałeś obarczyć sumienie? zresztą ile sądzę, komandor do cesarza jedzie, aby mu o zbliżeniu się wrogów zdać sprawę... być może, iż wszechmocny Bóg natchnie go wymową, skłoni Konrada do walki, a przynajmniej do odłożenia na jakiś czas naszego powrotu.

Domysł Janusza czczym nie był, Templaryusz istotnie udał się do cesarza, i wkrótce czterech heroldów ukazało się w głównych punktach obozu, donośnym wykrzykując głosem:

— Saraceni rozbili namioty nad brzegiem Jordanu, cesarz imci chrześcijański na przedstawienie komandora Templaryuszów, pozwala każdemu z rycerzy krucyaty wyprawić się na nich. Galary na przewiezienie pozostałych będą oczekiwać w porcie Edessy.

Mimo tego pozwolenia i zabezpieczenia odwrotu, mała tylko liczba krzyżowców, ludzi pięciuset najwięcej, połączyło się z komandorem i jego orszakiem.

— A więc z całego hufca zachodnich rycerzy, ta szczupła garstka tylko nie zabaczyła swych przysiąg, wykrzyknął Templaryusz z nieukrywanem oburzeniem, biada nam, biada Jeruzalem, biada po trzykroć chrześcijaństwu całemu!

Rozpaczny wykrzyk przejął zgrozą przytomnych, różnorodne uczucia wywołał na ich lica i czoło, nikogo więcej przecież nie skłonił do wyprawy... Janusz Zaklika poskromił oburzenie i skargi komandora słowami:

— Nie grzesz rycerzu, nie poddawaj serca zwątpieniu i boleści, alboż za nic masz pomoc i opiekę wszechmocnego Boga, alboż liczniejszy od twego hufiec oręźników wiódł święty Judasz Machabejski, gdy nieprzeliczone tłumy Syryjczyków pokonał?

Rozpogodziło się zasępione Templaryusza oblicze, słowa młodziana wyrzeczone głosem silnym i niby wewnętrzne mocne przekonanie malującym, natchnęły odwagą i ufnością potężny umysł, rękojmią niejako były zwycięstwa... uścisnął przyjacielską dłoń rycerza... dziękuję ci, wyrzekł, staremu żołnierzowi przypomniałeś jego obowiązek; nie skarżyć się mu, nie biadać ale działać wypada. Tak bracia moi w Chrystusie, zwrócił się do orszaku, ten młodzian miał słuszność, szczupłe nasze siły, ale Bóg naszym opiekunem, On wieść nas będzie, nie traćmy zatem czasu, jutrzejsze rano winno nas ujrzeć na skalistych brzegach Jordanu.

Skwarne południowe słońce wysoko wzbiło się na firmament niebiosów, pył nieprzejrzanej okiem pustyni, rozruszany kopytami rumaków, wznosił się bladożółtym gęstym i zaduchliwym tumanem, aż pod obłoki, tchu braknęło rycerzom, dzielne wierzchowce upadały na siłach, nie pomyślano jednak o wytchnieniu, wieczorem dopiero po kilkogodzinnym pochodzie, wstrzymano się na skalistej równinie blisko świętej chrześcijanom rzeki, komandor mówił:

— Tu wypocząć rumakom i sobie należy, znam dobrze okolice, pół mili tylko od obozu Saracenów jesteśmy odlegli... w nocy walka z nimi byłaby niepewną, poczekajmy do wschodu słońca.

Jakoż skoro tylko jutrzenka zabłysła na modrem przestworzu firmamentu, dał hasło pochodu, a właśnie w chwili, gdy słońce ognisty swój okrąg wytoczyło, od strony piaszczystej arabskiej równiny, szczupły zastęp Krzyżowców ujrzał przed sobą groźne hufce Kalifów.

Jak tylko okiem zdołałeś zasięgnąć, zalegały one nadbrzeża mętnego Jordanu, wszędzie błyszczą dzirydy i jatagany, wszędzie bielą się namioty; Janusz wyrzekł do brata:

— I z taką to liczną tłuszczą przyjdzie nam dzisiaj bój toczyć, zaiste obym był fałszywym prorokiem, nasza zguba nieuchronna.

Spytko nie odrzekł nic, ostrą tylko szablę obnażył, widno, że choć wątpliwość w zwycięstwo była, rycerski umysł nie poddał się trwodze, nie straszy niebezpieczeństwo, owszem chwalebny zgon miłym się sercu wydaje.

— Wspomóż nas, dopomagaj nam, Najświętsza Zbawiciela Matko, wykrzyknęli chórem chrześcijanie: Ałłach huekber ałłach bis ałłach, wołali Saraceni, i za danym rozkazem dowódców, w jednej chwili zabrzękły szable, zaświsły strzały i niby dwa nabrzmiałe powodzią potoki, niby dwie burze ciężkie gromem, brzemienne piorunami, spotkało się z sobą.

Godzinę przeszło trwał zacięty bój. Chrześcijanie walczyli dzielnie, bo o śmierć lub życie, niewierni o hańbę lub zwycięstwo, aleź liczebna przewaga górę brać zaczęła, już dzielne roty krzyżowców, zwątlone długą walką, przemagane dziesięćkrotnie liczniejszym wrogiem, uszczuplone w potędze, zaczęły się cofać, zwijać i ustępować, gdy waleczny Spytko, dojrzawszy na niedalekiem wzgórzu zielony Mahometa sztandar, święte godło Islamu, wykrzyknął do brata i do grabiego Jaksy, który także podzielał wyprawę:

— Bracia... widzicie co się dzieje, jeśli wieść będziem bój jak go do tej chwili wiedliśmy, zguba nasza nieuchronna, stanowczy cios tylko ocalić nas zdoła. Spostrzegacie na tym wzgórku powiewającą główną wrogów chorągiew, gdy się nam ją uda zdobyć lub zniszczyć, nieprzyjaciel straci ufność w swą sprawę; naszem będzie zwycięstwo.

I w trop swych słów, spiąwszy ostrogą rumaka poskoczył w nieprzeliczony tłum wrogów, za nim pobiegł Janusz i kilkudziesięciu rycerzy z orszaku grabiego. Barbarzyńcy niespodziewanym a silnym napadem strwożeni, słaby tylko opór stawiali, szczupły orszak chrześcijan, roznosząc na okrąg śmierć i trwogę już był bliskim celu usiłowań, gdy nagle rumak Spytka dosiągnięty czekanem wroga, potknął się i upadł na ziemię, pociągnąwszy jeźdźca za sobą.

Krzyżowcy straciwszy dowódcę, wstrzymali się w pochodzie, to wróciło odwagę barbarzyńcom, zaczęli się skupiać, i o obronie myśleli, ale Janusz naprzód wybiegł, rozumiał, że brat jego poległ, boleścią i zemstą serce zawrzało, rozpacz poruszyła krew, zemścić się lub zginąć, to jego hasło. Za mną bracia, donośnym głosem wykrzyknął, pomścijmy krew dzielnego wojownika... hańba temu co ustąpi... te wyrazy i przykład młodziana, który w całym pędzie rumaka uderzył na bisurmanów, powraca zwątlonym odwagę, bój się rozpoczyna z podwójnym zapałem, ale i Saraceni z pierwszego przestrachu przyszedłszy do siebie, o obronie myślą.. Chrzest zbroi, brzęk szabli, groźne wykrzyki zapełniają powietrze. Chrześcijanie biją się dzielnie, ciężkie ich szable strumieniem krwi zlewają pia-

sek pustyni... lecz jak poprzednio tak i teraz ustępują liczebnej przewadze.

Grabia rzeknie Januszowi:

— Dla Boga, młody przyjacielu, trudno nam dalej wytrzymać, połowa naszych zginęła, reszta znużona... niepodobieństwo przeciągać napad... dokąd czas, o zbawieniu myślmy.

— O zbawieniu, wykrzyknął młodzian, czyś zapomniał grabio o świeżej naszej stracie... brat mój poległ... ach! krew za krew, śmierć im!

I znów groźna jego szabla zabłysła, znów jeden i drugi czerep barbarzyńcy zbluzgał się krwią, ależ świeży hufiec bisurmanów nadbiegł, z wszystkich stron okrążył chrześcijan, klęska ich było nieodzowna, nawet dzielny Janusz to pojął i zwrócił się do towarzyszy... bracia, zawołał, nie ma dla nas nadziei, zginąć potrzeba... zgińmyż więc jak na chrześcijan i na rycerzy przystoi, na stosie trupów niewiernych, z ufnością w miłosierdzie Boskie, w przyszłe szczęśliwe życie.

Nim jednak barbarzyńcy zdołali łacnego dokonać zwycięstwa, dziki przeraźliwy wśród ich hufców wykrzyk rozległ się, wykrzyk ten powtórzyli i inni dalej walczący... na ogorzałych licach maluje się dziwna trwaga. Biada nam biada, powtarzają rozpacznie wszyscy, Ałłach nas opuścił, Mahomet swoje oblicze odwrócił od nas. I wypadek to był jednej chwili... niby trzoda zlęknionego zwierza rozbiegają się w całym pędzie rumaków po niezmiernej pustyni, i nie o walce, nie o zwycięstwie myślą w swoim popłochu, lecz o czemprędszej ucieczce, niby ich ścigała nieomylna dłoń srogiego przeznaczenia.

Chrześcijanie kilka chwil poglądają za pierzchającymi, zdziwieni, nie wiedzą jakiemu cudowi przypisać ocalenie swoje i zwycięstwo. Zagadka przecież wkrótce rozwiązaną była, na skalistym pagórku nie powiewa już złowrogie znamie, zielony Mahometa sztandar... złamała go, zdruzgotała i podarła jakaś dzielna ręka.

Ręka to była Spytka Zakliki.

Upadek z konia nie pozbawił życia dzielnego młodziana, na chwilę tylko odebrał mu przytomność umysłu, skoro jednak przyszedł do siebie, natychmiast dawny projekt w wypełnienie przywiódł, korzystając z zajęcia się barbarzyńców walką z chrześcijańskim oddziałem, przedarł się do groźnego sztandaru... po krótkiej walce z strażnikami zdobył go, i jak to wspomniałem podarł i złamał. Krótka i zwycięska jego walka nie była przecież bez niebezpieczeństwa... Kilka ciężkich razów odebrał, i gdy chrześcijanie radośne wznosząc okrzyki,

zebrali się na wzgórzu, znaleźli młodego rycerza zbroczonego krwią, i leżącego bez sił, na stosie nieprzyjacielskich trupów.

Usilne starania brata i wdzięcznych towarzyszy powróciły go przecież do życia, lecz gdy opatrzywszy rany, Janusz chciał chorego zabrać ze sobą, wzbraniał się, odrzucając pomoc i drżącym głosem wyrzekł:

— Ah! opuść, pozostaw mnie, niech tu zginę, niech umrę nad temi wodami, które ci szczęście przynoszą, zapewniając rękę Przecławy.

— Nie Spytku, — odparł brat starszy, — jej ręka nie moją ale twoją być winna, tobie dank dzisiejszego dnia należy, twoje męstwo i poświęcenie się okupiło nasz tryumf, ocaliło wszystkich.

— Lecz ty bracie, co czynisz, ofiara nie jestże ci ciężka?

— Choćby ona była najcięższą, zniosę ją przecież, alboż palec Boski w całej tej sprawie nie widny? poddać się bez szemrania winienem... los mój rzucony... Grabia Jaksa votum uczynił, że jeśli szczęśliwie do ojczystej ziemi z krucyaty powróci, w swoim dziedzictwie Miechowie klasztor wybuduje, który Bożogrobskim rycerzom nada, ja pierwszy więc wstąpię do niego.

Tym słowom więcej niż balsamom lekarzy winien był Spytko uzdrowienie, gdy przecież przyszedł do zdrowia, i wtedy gdy lotne nawy ryły bezdenne Śródziemnego morza otchłanie, i gdy wracał do rodzinnego kraju pięknemi obszarami Węgier, nie poprzestał walczyć z postanowieniem brata, do zmiany ślubu nakłaniał; nieugięty on w nim był przecie i na wszystkie rady i prośby, odpowiadał:

— Nie, tak być nie może jak chcesz... Co postanowiłem dokonać muszę, ona cię kocha i ty ją kochasz, więcej daleko niż jabym zdołał, rozłączyć was byłoby ciężkim grzechem, zbrodnią nawet, bądźcie więc szczęśliwymi, o mnie się nie troszczcie, czuję w sobie dość siły do cierpliwego zniesienia mojego losu.

Ale choć mówił te słowa obojętnie niby, głos jego był drżący, łza w oczach błyszczała, widno, że i jego miłość, choć cicha i skromna, równie była jak brata wielką; przybywszy przecie do kraju, nie chciał widzieć pięknej krewniaczki, ale osiadł w Krakowie, oczekując na wywiązanie się z ślubu grabiego Jaksy, i jak postanowił, jeden z pierwszych w miechowskim klasztorze, jako mnich Bożogróbskiego zakonu osiadł.

Co do Spytka, ten wkrótce za powrotem z Palestyny nazwał swą żoną Przecławę z Pilicy. Bóg hojnem i licznem po-

tomstwem udarował ten związek, które by na wieczne czasy zachować pamięć świetnych czynów i ślubu ojcowskiego, do rodzinnej nazwy przydomek Jordan dodało. Dotąd wiele znakomitych rodzin nosi go, pokazując tem ile im szanowną i miłą pamięć walecznego naddziada.

(Z powieści i legend Kosińskiego).



Wpływ nauk klasycznych

na religię, rodzinę i społeczeństwo.

„Jeszcze kilkadziesiąt lat pogaństwa w wychowaniu, a w Europie zaginie religia“.

Ks. Possevin.

Ojciec św. Leon XIII wydał, jak wiadomo, w dniu 1 sierpnia roku 1897 z powodu trzechsetletniego jubileuszu błogosł. Piotra Kanizyusa encyklikę do Episkopatu Niemiec, Austryi i Szwajcaryi, zajmującą się szkolnictwem.

Papieskie pismo oddaje na wstępie przedewszystkiem hołd pamięci błog. Piotra Kanizyusa, który w czasach, gdy Luter podniósł sztandar buntu przeciw Kościołowi, stanął do walki w obronie katolicyzmu. Następnie przedstawia encyklika życie i czyny błog. Piotra Kanizyusa, który na wszechnicach w Kolonii, Ingolsztacie i w Wiedniu nauczał teologii, a w liceach i kolegiach jezuickich szerzył katolicką prawdę.

Dalej omawia encyklika treść jego pism, które wszystkim umysłom zacnym ukazują drogę prawdy i szczęścia.

Do tego nawiązuje Ojciec św. wskazówki, a między innemi i tę: należy dążyć przedewszystkiem do dwóch rzeczy: a) pierwszą jest, aby katolicy nie zadawalniali się szkołami mięszanemi, lecz wszędzie mieli swoje własne szkoły; b) następnie jest potrzebnem, aby nietylko w przeznaczonych na to godzinach uczono młodzież religii, ale, aby cała reszta nauki była owiana i przejęta duchem chrześcijańskim.

Wobec tej całkiem w porę ogłoszonej encykliki Ojca św. i budzących się nowych prądów w wychowaniu młodzieży, postanowiliśmy wykazać w niniejszej rozprawce: czy i o ile dzisiejszy system nauk klasycznych w wychowaniu odpowiada

intencyom słusznym encykliki Ojca św., jako też wykazać wpływ tych nauk na religię, rodzinę i społeczeństwo.

„Zdziwienie ogarnie kiedyś naszych potomków“ — powiada jeden ze znakomitszych protestantów*) — „gdy się dowiedzą, że społeczeństwo nazywające się chrześcijańskiem! poświęcało 7—8 najpiękniejszych lat młodości swych dzieci wyłącznemu studyowaniu pogan“. Słuszna to bardzo uwaga, gdyż niebezpieczeństwa i szkody, wynikające z tego rodzaju wychowania są — nieobliczone. Klasyczne bowiem pogaństwo w wychowaniu dąży do zgotowania całkowitego upadku chrześcijaństwa; burzy ono chrystyanim, wydając go na łup zapomnienia, pogardy i sfałszowania. Dziecko, pochodzące z rodziny, w której obecnie otrzymuje tylko bardzo powierzchowne chrześcijańskie wychowanie, wstępuje do publicznego naukowego zakładu, gdzie pozostaje 7 do 8 lat. Jeśli nie pierwszą, to drugą łacińską, lub grecką książką, którą mu dają do ręki, jest książka — pogańska, trzecią, czwartą książką jest książka pogańska — słowem: otrzymuje same pogańskie książki aż do ukończenia studyów.

Jego zatrudnieniem każdego dnia, każdej godziny jest ich czytanie, tłómaczenie, uczenie się na pamięć, poznawanie wszelkich czynów pogaństwa od postępków bóstw, aż do postępków wojowników, mowców, filozofów Rzymu i Aten. W klasie słyszy uczeń tylko nazwiska Rzymian i Kartagińczyków. Wyjaśnienia profesorów nie przyswajają mu nigdy, albo prawie nigdy pojęć — chrześcijańskich gruntownie. Żyje on pośród pogaństwa; jego duchowy widnokrąg rozpościera się tylko przypadkowo poza granice Grecyi i Italii. „Góra święta“, Palatyn, Sparta, Teby, Maraton, Termopile, mownica, Kapitol, areopag, forum — to jedyne miejsca, w których przemieszkują jego myśli, jego wyobraźnia, jego pamięć.

— No, — powie ten i ów — ale czyż nie uczą religii we wszelkich naukowych zakładach zarówno świeckich jak i zakonnych, duchownych?

To prawda: religia figuruje tam jak każda inna umiejętność w naukowych programach. Prawda: każdy z tych zakładów posiada duchownego, który odprawia Mszę świętą i dwa razy, lub więcej na tydzień udziela młodzieży mniej, lub więcej racyonalnej, mniej, lub więcej filozoficznej nauki religii.

---

*) Gasparin.

Czy atoli w ten sposób przyswojona religia ochroni młodzież od indyferentyzmu religijnego? Bynajmniej. Zanim powiemy: dlaczego, zaznaczamy przedewszystkiem, że wina w tej mierze ciąży nie na osobach, ale na systemie wychowania.

Nasycony deizmem, aby więcej nie powiedzieć, upatruje dzisiejszy system naukowy w religii tylko umiejętność uboczną, której zakres działania ograniczono, a nie — jak być powinno i czego nigdy wobec klasyków pogańskich dopiąć nie można — umiejętność uniwersalną, umiejętność wszechumiejętności, która codzień, co godzinę udzielana we wszelkich książkach jakie uczeń studyuje, powinna naturalnym sposobem wytryskać: jak woń tchnie z kwiecia. W istocie nie z jednej tylko książki, ale ze wszelkich książek, nietylko z ust jednego nauczyciela, lecz z ust wszystkich nauczycieli powinna płynąć religia, aby raz opowiedzieć jakieś zdarzenie z jej dziejów, lub cnotę którego z jej wielkich mężów, zasadę ewangelii, innym razem aby wpłynąć na serce dziecka, sprostować błąd jego młodocianego rozumu, rozwinąć jego kiełkujące szlachetne usposobienie, to znowu aby mu objawić ukrytą przyczynę jakiego przewrotu w dziejach świata, lub ważnego zdarzenia — a zawsze, aby mu wykazać, że ona jest jedynem źródłem piękna, dobra, prawdy, duszą, okiem, wskazówką kierującą, wonią wszelkich umiejętności, które ona ożywia, uszlachetnia, porządkuje, objaśnia i doprowadza do ostatecznego celu wszech rzeczy, t. j. do uwielbienia Boga i zbawienia ludzi.

Tem powinna być religia, a tem nie jest. Możnaż tutaj jeszcze zapoznawać błąd zasadniczy, który w naszym pogańskim systemie wychowania religię podaje i zawsze podawać będzie na łup zapomnienia? Uczniowie przysłuchiwać się będą nauce religii jak każdej innej nauce, może z nieco mniejszą uwagą, a nieco większą niechęcią. W oczach dziecka pozostanie religia nieustannie oderwaną, od jego reszty studyów oddzieloną umiejętnością, której się można uczyć, lub ją zapomnieć; a całą zasługą, lub winą jest tutaj jedynie większy, lub mniejszy zasób pozyskanych w tym przedmiocie wiadomości. To znaczy: uczeń będzie się uczył religii jak języka francuskiego, lub innego godzinę, lub 2 godziny tygodniowo, a po upływie 5 lat nie podoła czytać jakieś dzieło ze zrozumieniem, a tem mniej rozmawiać dotyczącym językiem. Stwierdza to życie codzienne, albowiem młodzieńcy po ukończeniu wszechnicy, zająwszy w społeczeństwie odpowiednie stanowiska o wiele niedokładniej znają religię i o niej o wiele niedokładniej sądzą, aniżeli niewiasty i lud pospolity.

Wobec codziennie, każdej niemal godziny wykładanych nauk pogańskich, kilkugodzinna w tygodniu nauka religii nie zdoła prawdziwie religijnego społeczeństwa wykształcić. „Czemże jest“ — zauważa słusznie ks. Possevin — „kilka kropel czystego wina, jeśli ono ma złagodzić całą beczkę octu?“ O wartości tego rodzaju nauki wyraża się pewnie niepośledni znawca Keratry: „Nie łudźmy się bynajmniej: nie obecność księdza (katechety) w oznaczonym dniu, chociażby to był ksiądz w wysokim stopniu czcigodny, wpaja w umysł dzieci usposobienie religijne, utrzymując się jakiś czas. Pozyskuje się ono jedynie przez nieprzerwany związek nauki, w którą prawo Boże jest niejako wlane. Toż i czysto umiejętne studya muszą doznać jej wpływu“. Cóżby się stało, gdyby się dogmat stał przedmiotem powątpiewania? Młodzieży potrzeba w rzeczach religii prawd niezaprzeczonych, gdyż wiara, której można w czemkolwiek zaprzeczyć, staje się dla niej wiarą — martwą. Dzisiaj w naukowych zakładach powszechnie uwydatniają i to tylko dzielni i świątobliwi profesorowie religią jedynie pośrednio, nie bez mozołu dla kontrastu i przeciwstawienia. Stąd wynika ta przewrotność, że pogaństwo stanowi tam właściwą biesiadę, a chrystyanizm jest tylko jej — wetami. Dalszem zaś następstwem jest mniej, lub więcej gruntowna znajomość pogaństwa, a o wiele większa nieznajomość chrystyanizmu, aniżeli ludzie ogólnie mniemają.

Od lat 300 tak się działo i tak się dzisiaj w szkołach jeszcze dzieje, pomimo gorliwości i cnotliwości naszych nauczycieli, którym wszelką wymierzamy sprawiedliwość. Po opuszczeniu szkoły umieliśmy na pamięć nazwiska, dzieje, atrybuty, przygody bogów i bogiń mitologicznych; znaliśmy: Danaidy i Parki, Ixyona i jego koło, Tantala i jego srogą karę, gęsi kapitolińskie i kurczęta Klaudyusa. Moglibyśmy byli napisać bez błędów życiorysy Minosa, Eaka i Radomanta, Kodrusa i Tarkwiniusa, Epaminondasa, Scypiona i Hannibala, Cycerona i Demostenesa, jak niemniej Aleksandra i Cezara, Owidego, Salustyusa, Wergilego i Homera. Lykurg, Sokrates, Pluto, Flaminy, igrzyska cyrku i amfiteatru, ofiary, uroczystości, komicye narodu „światowładnego“ — to były znane nam rzeczy. Słowem: posiadaliśmy wszystkę onę uczoność, której można było spodziewać się u wszystkich młodych mężów Rzymu i Aten, potomków Brutusa i Grachów, przyszłych ozdób forum, wielbicieli i desygnowanych kapłanów Jowisza i Saturna. Gdyby atoli nas był ktoś przypadkiem przeniósł w świat chrześcijański i zapytał o nazwiska dwunastu Apostołów, o ilość

napisanych przez nich listów, gdyby się dowiadywał o naszych Świętych i Męczenników, o nasze bohatery i ozdoby, o takich Złotoustych, Augustynów, Atanazyusów, Ambrożych — królów krasomowstwa i chrześcijańskiej filozofii, ojców nowego świata, nauczycieli w umiejętności życia, gdyby był zapytał nas, o ich dzieci — dzieci Kościoła i Męczenników: kiedy się oni urodzili, jakie staczali walki, jakie napisali dzieła, jakie czyny zjednały im podziw stuleci i cześć świata, natenczas te pytania byłyby dla nas mową — obcą. Mniej chwalebny rumieniec i upokarzające ubezwładnienie naszych ust obudziłyby politowanie u osób współczujących, odsłaniając równocześnie potworną niedorzeczność naszych studyów klasycznych. Te są dzieje naszej przeszłości, a może także dzieje i wielu innych.

A może ktoś powie, że ta smutna niewiadomość w sprawie religii później nastąpi? Proszę: a ilużnacie młodych ludzi, dojrzałych mężów w różnorodnych klasach społeczeństwa, którzyby po opuszczeniu szkół poświęcili na seryo studyowaniu religii bodaj dwadzieścia cztery godziny? Ile przeciwnie ludzi możnaby przytoczyć, którzy zamiast uzupełniania swych religijnych wiadomości — zasadnicze pojęcia katechizmu uronili i to uronili oddawna! Klasyczne pogaństwo przekazuje więc zasmucającym sposobem niezmierną większość wykształconych w wieczystej niewiadomości w sprawach religii.

Pogaństwo wydaje religią na łup pogardzie.

Nie zapominajmy, cośmy powiedzieli, że religia jest umiejętnością uniwersalną, alfą i omegą wszech rzeczy! Do niej można zastósować literalnie to, co o teologii orzekł św. Tomasz. „Umiejętność teologiczna panuje nad wszystkiemi innemi umiejętnościami, gdyż jest najwznioślejszą ze wszystkich. Pod jej rozkazami pracują one wszystkie; ona utrzymuje wszystkie w swej służbie, ponieważ jej zadaniem jest wprowadzanie ich w ruch — tak, że dążność, cel i treść każdej umiejętności są zawarte w celach religii i do nich przeznaczone, umiejętność religii musi panować nad resztą umiejętności i zastósowywać wszelkie ich nauki [1]).

Stąd wynika, że religia w myślach, studyach, poszanowaniu i podziwie każdego człowieka nie ma nic wyższego nad siebie, nic równie wzniosłego; że jej natchnienia, jej nauki, czyny, walki i tryumfy, jej ludzie, ozdoby i dzieła mistrzowskie są wyższe nad wszelkie porównanie. Jej samej przypada

---

[1]) St. Thomas: „Theologia imperat omnibus aliis scientiis tamquam principalis“ etc. etc.

stanowisko książęce; każde inne uwłacza jej godności. Jest ona królową, albo niczem — aut nihil, aut Cesar! Stawiając zatem pogaństwo i piśmienne, artystyczne, historyczne, umnicze i filozoficzne chrześcijaństwo w równej linii, dozwala się obojgu podzielić rządy w dziedzinie idei i przyznaje się im równy stopień w szacunku młodzieży. Gdy się zaś postawi pogaństwo wyżej nad chrześcijaństwo, natenczas przekazuje mu się berło idei i wyznacza honorowe miejsce w szacunku młodzieży — uwłacza się godności chrystyanizmu, niweczy je ile możności na niekorzyść podrastających pokoleń, gdyż pierwsze wrażenia tworzą ich istotę moralną, aż do zgonu.

Od XVI stulecia przemawiają profesorowie z katedry w szkołach do młodzieży: „Mili młodzi przyjaciele! w starożytności istniały dwa uprzywilejowane kraje, w których przez długie czasy i wyłącznie przemieszkiwały: geniusz wymowy, poezyi, historyi, filozofii, architektury rzeźbiarstwa, wszelkich sztuk i umiejętności. W tych krajach urodzili się najwięksi mężowie, jakich tylko świat poznał. Rzym i Ateny były ojczyzną najsłynniejszych bohaterów — Grecya i Italia widownią najwięcej pamięci i waszego studyowania godnych czynów: tam byli ludzie i sprawy — wszystko niepospolite". Wyliczywszy następnie cały szereg słynnych nazwisk zachęcają profesorowie młodzież słowami: „Patrzcie na ich dzieła i czyny! Będziecie mieli szczęście studyowania jednych, naśladowanie drugich poczytywać sobie będziecie za obowiązek. Uczcie się myśleć, czuć, mówić jak oni, jeśli pragniecie należycie myśleć, należycie czuć i należycie mówić! Wypada nam tylko uprzedzić was, że ci wielcy mężowie nie byli chrześcijanami, lecz to nie czyni żadnej ujmy ani ich mistrzowskim dziełom, ani ich pięknym czynom".

Zdziwiona młodzież wierzy słowom swych nauczycieli, podziwia za ich wskazówką i poczyna pogardzać wszystkiem, co tylko w piśmiennictwie, poezyi, filozofii, w historyi, umiejętnościach i sztukach nie ma początku pogańskiego. Tego rodzaju przesadne pochwały utwierdzają pogaństwo w wychowaniu chciwej wrażeń duszy młodzieży. A te zachwalenia powtarzane bywają codziennie w ciągu 8 lat, w których człowiek buduje podwaliny swego przyszłego życia!

Słusznie też zapytuje francuski dostojnik Kościoła [1]): „Moi panowie! czyliż nie przyznacie, że tego rodzaju lekkomyślnie

---

[1]) Ks. Biskup z Langres w liście do naczelnika i dyrektorów swego małego seminaryum.

i nieustannie udzielane nauki z czasem muszą osłabiać uczucie wiary i obudzać nieumiarkowaną dumę rozumu? Czyliż zuchwałem byłoby zatem twierdzenie, że podnosząc tym sposobem wszędzie dzieła człowieka na dotkliwą niekorzyść Objawienia, które jest szczególniejszem dziełem Boga, toruje się drogi bezwstydnemu racyonalizmowi, który jawnie tak daleko się posunął, że już tylko samego siebie ubóstwia?"

Pogarda religii — nieuniknione następstwo klasycznego pogańskiego żywiołu w wychowaniu w celu pojawienia się nie czeka bynajmniej na dojrzałe lata w życiu. Zdradza się ona już w szkole widocznym brakiem pobożności, głęboko zakorzenioną niechęcią wobec obowiązków chrystyanizmu i nauki religii, niedowiarstwem i zepsuciem moralnem. Dwojaki to trąd, który mlekiem pogaństwa karmiony, toczy generacye. Objawia się ona szczególnie w usposobieniu nauczycieli i wychowanków względem osoby, w której jest uosobiona religia. W ich oczach kapłan, chociażby jak najwięcej cnotliwy i utalentowany nie jest już mężem — niezbędnym, mężem, któregoby nauki u największej liczby sluchaczy budziły zapał, któregoby słowa nakazywały największą cześć i pozyskiwały najwięcej miłości. Bywa on dzisiaj kimś, kto nie znachodzi już żadnej nazwy w mowie podziwienia, a jeszcze mniej w mowie miłującego serca, ponieważ sama idea, której on jest przedstawicielem, zajmuje tylko bardzo podrzędne miejsce w poszanowaniu, nie znachodząc atoli wcale żadnego pomieszczenia w przywiązaniu otaczających go osób. Dla jednych bywa kapłan (o zuchwała zniewago!) — najemnikiem, udzielającym codziennie nauki za otrzymywaną zapłatę; dla drugich bywa on profesorem religii, nauczycielem moralności, który w oznaczonych godzinach naucza, starając się w duszach słuchaczy obudzić nie wiarę w święte prawdy, ale tylko oschłe i jałowe przekonanie podobnie: jak to czyni profesor algebry, rozwiązujący swe problematy.

Pogańskie nauki klasyczne w wychowaniu wydają wreszcie religię na łup sfałszowania.

Czemże to jest chrystyanizm? Jest on religią ducha, religią wierności. Obawę, pogardę i rezygnacyę wobec bogactw, zaszczytów i rozkoszy doczesnych, zaparcie siebie samego, umartwienie ciała w celu przywrócenia duszy jej prawowitego panowania: to głosi chrystyanizm od kolebki aż do wstąpienia na górę Kalwaryjską, od kolebki aż do grobu, od początkowej karty ewangelii aż do ostatniej. Błogosławieni pokorni, błogosławieni ubodzy, błogosławieni,

którzy cierpią! Biada bogaczom, możnym i szczęśliwym tego świata: te są zasady chrystyanizmu.

Czem jest chrystyanizm jeszcze? Jest on religią nadnaturalną, odrzucającą wszelkie ludzkie pobudki, wszelkie jedynie naturalne zamiary, a zatem i wszelkie cnoty, które nie wypływają ze źródła łaski (Bożej). Spełniajcie swe dobre dzieła, piękne czyny nie przed ludźmi, inaczej nie otrzymacie nagrody od swego Ojca, który jest w niebiesiech! Pozostawajcie przez miłość w zjednoczeniu ze swym Boskim, Pośrednikiem; jak jest zespolone grono z winną macicą, która je żywi i utrzymuje, inaczej mieć nie będziecie żadnych zasług; owszem będziecie drzewami, nie rodzącemi owoców, nieprzydatnymi sługami, którzy ze związanemi rękami i nogami zostaną wrzuceni w największe ciemności. Czystość zamiarów i uświęcająca łaska Boża: to dla chrystyanizmu dwa nieodzowne warunki cnót prawdziwych; bez nich nie zna on cnót — innych, nie nagradza cnót innych.

Czemże jest w końcu chrystyanizm? Jest on religią miłości, a więc prawdziwej wolności i równości wszystkich ludzi; jest on religią czułego lgnienia ku ubogim, ubogich ku bogaczom — jest religijnem poszanowaniem człowieka jednego względem drugiego, a osobliwie względem istot słabych: względem dziecka, niewiasty, względem ubogich, chorych, uwięzionych i sług. Będziesz miłował bliźniego jak siebie samego! Po tem poznają, że jesteście mymi uczniami, gdy się miłować będziecie wzajemnie — nietylko ustami i słowy, ale w prawdzie i przez rzetelne uczynki. Tem jest duch chrystyanizmu.

No, a czemże jest pogaństwo? Pogaństwo jest przeciwieństwem chrystyanizmu. Jest ono religią zmysłów, religią czasu— ubóstwieniem materyi, zamiłowaniem bogactw, zamiłowaniem zaszczytów i przyjemności. Błogosławieni są bogaci, błogosławieni możni, błogosławieni pławiący się na łonie rozkoszy: to opiewa pogaństwo, to ono miłuje, to wychwala przykładem swych ludzi i bożyszcz, głosem swych dziejopisów, swych poetów, swych mowców, artystów i tych wszystkich, których naszej młodzieży podaje się za wzory.

Czem jest pogaństwo dalej? Jest ono naturalizmem ze względu na cnotę. Uznaje ono cnoty, wypływające z zamysłów ludzkich, z chęci pozyskania sobie imienia, z kaprysu, charakteru i temperamentu — cnoty bez łaski uświęcającej, która sama jedna może je pożytecznemi uczynić dla wieczystego celu człowieka, — cnoty pozorne, spełniane dla „ludz-

kiego oka", za które spełniający je szukają potajemnie odszkodowania. I dlatego to napotykamy dziejopisów, mowców, moralistów — ludzi jak Salustyusa, Senekę, Cycerona, prawiących wymownie o umiarkowaniu, którzy występują przeciw żądzy sławy i niemoralności, a przecie w swem życiu prywatnem ciągle wstydliwość, umiarkowanie i wszelkie cnoty naruszają.

Czem jest w końcu pogaństwo? Jest ono religią powszechnej nienawiści, religią niewoli i głęboko zakorzenionej pogardy człowieka względem człowieka, a osobliwie istot słabych, które ona nogami depta, albo czyni narzędziem najbrutalniejszych rozkoszy, — względem dziecka, które ona dozwala zabić, sprzedać, lub porzucić, względem niewiasty, którą skazuje na ohydną niewolę, względem ubogich, których swą pogardą ściga i nazywa nieczystem zwierzęciem, względem chorych, których na łożu boleści przekazuje wrzekomemu pielęgnowaniu Eskulapa, względem więźniów, których dusi, względem niewolników, których niżej ceni, aniżeli psa, który swego pana bawi, albo zwierzę juczne, które mu dźwiga ciężary. Tem jest pogaństwo w swych zasadach, w swym duchu i w swych postępkach.

Słowem: chrystyanizm jest uwielbieniem ducha, pogaństwo uwielbieniem ciała — z jednej strony spirytualizm, z drugiej sensualizm: ta jest przeciwna zasadnicza treść tego obojga religii.

To pogaństwo zaś naucza naszą młodzież, jego nauka jest tem skuteczniejsza, że jest wszędzie czynną, przyjmuje wszelkie postacie i wszelkim sposobem się wkrada, albowiem tchnie naturalnie jak woń z kwiecia z każdej książki, z każdej stronnicy, z każdego wyrażenia, które uczeń musi podziwiać, odczytywać, studyować, pojmować, tłómaczyć, uczyć się na pamięć i to codziennie, każdej godziny w ciągu dnia przez całe 8 lat!

A cóż stać się może pod tego rodzaju wływem z duchem chrześcijańskim? Ach, on popada w sfałszowanie, zwątlenie i gaśnie. Znika ład nadprzyrodzony — pozostaje sam naturalizm. Człowiek staje się tem, czem go czyni wychowanie — tutaj zatem pogańskim. Proszę też, popatrzeć: czyli sensualizm i egoizm nie rozpowszechniły się po całej Europie? Czyliż one nie wnikają mniej, lub więcej we wszystkie dusze, we wszystkie sztuki, we wszystkie umiejętności, we wszelkie życie od poczynającego się aż do zbliżającego się do końca?

Jeśli w tym duchu wychowana młodzież zajmie się przypadkiem polityką, wtenczas bywa konserwatywną pod rządami

monarchicznemi, a reakcyjną pod rządami republikańskiemi. Ci panowie należą do wielkiego stronnictwa ładu; są oni zdania, że religia jest konieczną dla ludu, jakkolwiek sami w nic nie wierzą; bronią oni rodzinę w ogólności, lecz swoją własną zasmucają swem lenistwem i rujnują ją później swem marnotrawstwem, bronią także i miłują własność, ale bez pracy. Są jużci wyjątki: — wiemy o tem — obudzają one zwykle pośmiewisko w swem otoczeniu. „W najwyższej szkole — wszechnicy, w tak zwanej szkole normalnej we Francyi była nauka filozofii przed niedawnemi czasy przedmiotem wszelkiej ambicyi; obecnie wzgardzona znajduje trudne i liche praktykowanie. I skądże to poszło? Wybierano ją niegdyś, ponieważ ona była pewną jak każda inna nauka; obecnie jest ona niebezpieczną i doznaje prześladowania — dzisiaj odwracają się od niej. A wy, moi młodzi towarzysze, powinniście się właśnie ku niej z zamiłowaniem zwrócić“ [1]. (Dokończenie nastąpi).

Kasy Raiffeisena

jako środek do podniesienia ekonomicznego włościan.

Nędza wśród ludu wiejskiego jest faktem powszechnie znanym. Różne się składały przyczyny na ten smutny stan ekonomiczny naszego włościanina, ale główną przyczyną jest bezsprzecznie wyzysk i lichwa, uprawiana przez żydów, do których włościanin w potrzebie uciekać się musi, nie mając gdzieindziej łatwego i przystępnego kredytu.

Dziś lud wiejski dużo bardzo ma przyjaciół, co go formalnie rozdzierają. Ludowcy pod egidą *Przyjaciela Ludu* i wodzów Stapińskich, Winkowskich i t. p. obiecują chłopu złote góry, X. Stojałowski ze swoją falangą w licytacyi idzie dalej jeszcze, a już socyaliści w obietnicach nie mają granic, rozdają chłopom grunta i lasy dworskie; wogóle każde stronnictwo obiecanką stara się miliony siermiężnego ludu zwabić do swego obozu; w pogoni za popularnością w ostatnim szeregu stoi konserwatysta-stańczyk, ale ponieważ on zjawi się chłopu i brata się z nim tylko przy wyborczej kiełbasie, więc traci wśród ludu mir na korzyść stronnictw ruchliwszych, których wysłańcy nie wychodzą ze wsi, stykają się z chłopem w chałupie, karczmie, na jarmarku i t. d.

---

[1]) Jaques, profesor filozofii w Paryżu.

Ale z tych wszystkich pięknych słówek, któremi się lud bałamuci na wiecach, dotąd przynajmniej żadnej chłop nie odniósł korzyści — pogłębiła się tylko zawiść kastowa — obiecanki zaś zostały obiecankami. Wybrani przedstawiciele ludowców, stojałowszczyków i socyalistów zamiast pracować dla dobra ludu — dopomogli tylko skutecznie do ubezwładnienia Rady Państwa.

Lecz nie miejsce tu zajmować się polityką, chcemy tylko powiedzieć, że prawdziwy przyjaciel ludu nie samemi obietnicami powinien lud ten karmić, ale powinien działać, przyczyniać się do podniesienia z nędzy i wyrwania chłopa z rąk lichwy. Kto się do tej zaprzągnie pracy, ten jest ludu przyjacielem.

Takim przyjacielem ludu był w Niemczech w okolicach nadreńskich Fryderyk Wilhelm Raiffeisen.

Ekonomiczny stan ludności wiejskiej w okolicach nadreńskich był równie rozpaczliwy jak obecnie ma się rzecz u nas. Lichwa tak się rozwielmożniła, że chłop nieraz i bydlęcia swego nie posiadał, i brał je od żyda lichwiarza na użytkowanie za wysoką dopłatą. Dodajmy do tego ciemnotę, lekkomyślność, bezradność, a będziemy mieli podobny do naszych stosunków wiejskich obrazek. Lud bezradny, uciskany przez lichwę, wyzbywał się ojcowizny i szedł za morza i w służbę, bo nie było co jeść, co siać, czem orać.

Raiffeisen, który był wtedy burmistrzem w Flammersfeld, długo rozmyślał nad sposobem przyjścia w pomoc sąsiadom i owocem tych rozmyślań było założenie pierwszej spółki pożyczkowej z celem zwalczania lichwy. Pierwszą działalnością tej spółki było udzielać rolnikom pożyczek na kupno własnego bydła, następnie na spłatę długów lichwiarskich, a wreszcie na poprawę gospodarstw.

Długo musiał Raiffeisen walczyć z obojętnością ludu, któremu chciał dopomódz, długie walki staczał z lichwiarzami, którzy uczuli, że im się grunt z pod stóp usuwa, którzy nawet posunęli się do denuncyacyi, przedstawiając filantropijną działalność Raiffeisena jako niebezpieczną dla państwa. Nareszcie pokonał zacny filantrop wszystkie przeszkody, a komisarz wysłany na śledztwo stwierdził nietylko pożyteczną działalność spółek pożyczkowych, lecz nadto oddał założycielowi ich najwyższą pochwałę, przytaczając słowa starego miejscowego proboszcza: „Zaręczyć Panu mogę, że spółka Raiffeisena przyczyniła się więcej do umoralnienia moich parafian, niż wszystkie moje długoletnie kazania“.

Rząd niemiecki przyszedłszy do przekonania, że spółki systemu Raiffeisena są znakomitym czynnikiem ekonomicznego rozwoju włościaństwa, zaczął je popierać moralnie i materyalnie i dziś całe Niemcy zasiane spółkami tego systemu.

Dla przykładu jak się tam system kas Raiffeisenowskich przyjął i jakie korzyści oddaje włościanom, przytoczymy cyfry Związku Generalnego w Neuwied za rok 1896.

Związek w Neuwied obejmuje 2445 spółek z 173043 członkami.

Przychody wynosiły . .	103,803.762	marek
Rozchody	98,570.329	„
Fundusz rezerwowy . .	3,152.980	„

Takich generalnych związków jest w Niemczech 4.

Za przykładem Niemiec poszły niektóre kraje austryackie jak Austrya wyższa i niższa, Czechy, Morawy, Śląsk, i widzimy obecnie w tych krajach cały szereg spółek Raiffeisenowskich z tysiącami członków z milionowymi obrotami, a wszędzie spółki te jednakowe błogą działalność swoją rozwijają, uwalniając chłopa od lichwy i wyzysku, dając tani a łatwy kredyt, podnosząc gospodarstwa włościańskie, a nawet pośrednicząc w sprzedaży i kupnie artykułów gospodarczych i płodów rolniczych.

U nas w Galicyi początek na tem polu również zrobiony dzięki inicyatywie ludzi dobrej woli — prawdziwych przyjaciół ludu. Kas systemu Raiffeisena mamy w kraju 15. Najstarsza w Czernichowie liczyła w r. 1896 członków 713 z rocznym obrotem kasowym 99.329 złr. Obecnie akcya celem zakładania spółek Raiffeisenowskich weszła na pomyślniejsze tory; Wydział krajowy przedłożył sejmowi sprawozdanie w tym przedmiocie z wnioskiem popierania zakładania tych spółek przez dostarczanie pieniędzy na koszta założenia i niewielkiego kapitału na pierwsze potrzeby spółki. Chodzi tylko, aby się w kraju znalazła odpowiednia ilość ludzi chętnych, którzyby się podjęli w pierwszym rzędzie zachęty włościan do zapisywania się na członków spółki, a następnie do prowadzenia interesów spółki.

Kto tu pierwszy stanie do roboty, nie cofając się przed obojętnością, uprzedzeniem, niechęcią i trudem, ten zyska sobie wdzięczność ludu, ten zyska wpływ na lud — oprócz własnego zadowolenia, że wypełnił święty obowiązek obywatelski, pomagając ludności do wydobycia się z zależności ekonomicznej, do podniesienia się ogólnego dobrobytu.

A teraz kilka słów o celu urządzenia spółek systemu Raiffeisena i sposobie manipulacyi.

Raiffeisen był człowiekiem nawskróś religijnym, a głęboka miłość bliźniego uczyniła go czułym na nędzę współbraci. To też spółki jego systemu noszą na sobie wybitne piętno humanitarnych instytucyj, bo założyciel żądał od członków kierowania się zawsze miłością bliźniego.

Ta miłość bliźniego stanowi nić przewodnią spółek i łączy zamożnych z ubogimi, żądając od bogatszych pewnej ofiarności na rzecz uboższych; bogatsi bowiem przystępując do spółki wzmacniają samem przystąpieniem podstawę spółki, bo ręczą solidarnie (jeden za wszystkich, wszyscy za jednego) swoim majątkiem, a nadto lokując swoje oszczędności w spółce dają jej potrzebny obrotowy kapitał. Bogatsi i inteligentniejsi stanowią także zwykle zarząd spółki bezinteresownie.

Celem spółki jest polepszyć stosunki członków pod względem moralnym i materyalnym przez uzyskanie pod wspólną gwarancyą środków pieniężnych dla udzielania pożyczek i dla tępienia lichwy.

Jakie lichwa spustoszenia szerzy wśród ludu naszego, nie potrzeba wspominać, a najskuteczniej zwalczy ją instytucya miejscowa, gdzie potrzebujący kredytu znajdzie go zawsze bez trudu, bez kosztów, a więc łatwo i do tego tanio.

Zadaniem więc spółek Raiffeisena jest w pierwszym rzędzie ratować tych, co popadli w kleszcze lichwy i zapobiegać, aby nowe ofiary lichwy się nie mnożyły.

Drugiem zadaniem spółki jest popieranie oszczędności przez przyjmowanie najdrobniejszych wkładek i ich oprocentowanie, a przez to wyrobi się w ludzie zmysł oszczędności, a zatem idzie większa moralność, pracowitość.

Spółki Raiffeisena obejmują małe okręgi, parafię lub jedną wieś. W małym takim okręgu znają się wszyscy dokładnie i zarząd ma zawsze pewne dane o stosunkach majątkowych, o moralnej wartości starającego się o pożyczkę i jego wierzycieli; tylko w tak małym okręgu wytworzy się pomiędzy członkami pewna łączność, troskliwość o siebie, co jest wielkim umoralniającym czynnikiem; tylko w małym okręgu prowadzenie zarządu bezpłatne nie pociąga za sobą zbyt wielkich ofiar, a nadto umożliwia lokowanie bez trudu i zachodu drobnych zwykle oszczędności. Warunkiem spółki jest poręka zwykle nieograniczona. Za nieograniczoną poręką przemawia to, że łatwiej jest uzyskać potrzebne kapitały do prowadzenia interesów, a choć na oko ryzyko członków większe, to doświadczenie uczy, że jeszcze żadna spółka Raiffeisenowska wskutek nieograniczonej poręki nie poniosła straty. Z uwagi jednak, że zarząd sam interesowany baczy na to, aby tylko tacy członkowie otrzymali pożyczkę, którzy tak swoimi stosunkami gospodarskimi jak i osobistym charakterem dają gwarancyę, że udzielonego im kredytu użyją dobrze; aby ręczyciele również posiadali odpowiednie warunki, zważywszy także na wzgląd, że dłużnik spółki jest przez wszystkich członków spółki niejako kontrolowany i w razie

wątpliwym może mu być pożyczka wypowiedziana z terminem 4-tygodniowym, to niebezpieczeństwo nieograniczonej poręki schodzi do minimum, a jak wspomnieliśmy, że w dotychczasowej praktyce nie było jeszcze wypadku, żeby którykolwiek z członków spółki Raiffeisenowskiej poniósł choć najdrobniejszą stratę z powodu nieograniczonej poręki.

Można tu zarzucić i przytoczyć przykłady, że wiele Towarzystw zaliczkowych, opartych na poręce nieograniczonej, upadło i pociągnęło za sobą ruinę członków; tak, ale to były bankowe przedsiębiorstwa o szerokim terenie działania, o tysiącach członków, gdzie kontrola trudna, gdzie członek rzemieślnik lub kupiec, nie mający stałego mienia, nie dawał żadnej pewnej gwarancyi pokrycia pożyczki, tu zaś w ograniczonem kółku, gdzie wszyscy się znają, gdzie wszyscy stowarzyszeni mają ziemię, na której wartości oparta pożyczka, o takiem niebezpieczeństwie nie może być mowy.

Każdy członek wpłaca pewny drobny udział najwyżej 5 złr., który może być rozłożony do wpłaty ratami; udział ten się procentuje.

F u n d u s z e spółki składają się z udziałów, z wkładek oszczędności i z pożyczek, zaciąganych na cele spółki. Udziały zwykle niskie, przeto kapitał z nich powstały nie bardzo zaważy na szali.

Wkładki oszczędności mogą tu główną rolę odgrywać, jeżeli się zachęci lud do lokowania swych oszczędności w kasie spółki. Lokować mogą swoje oszczędności wszyscy, członkowie i nieczłonkowie, przyjmować należy najdrobniejsze wkładki nawet centowe, i w ten sposób wdrażać zmysł oszczędności u ludności tak dorosłej jak i dzieci. Wkładki procentują się, osiągnąwszy pewną kwotę n. p. koronę. Większych wkładek, któreby zaraz w ruch nie mogły być puszczone, spółka przyjmować nie powinna.

Ważną rzeczą są pożyczki, zaciągnięte przez spółkę celem udzielenia pożyczek swoim członkom. Przy spółce o nieograniczonej poręce łatwo jest znaleść instytucyę lub kapitalistę, który udzieli żądanej pożyczki, ma bowiem pewną gwarancyę w solidarnej poręce członków i ich majątku. Sprawa ta o tyle się jeszcze uprości, że Wydział krajowy postawił już Sejmowi wniosek, aby corocznie wstawiać do budżetu 20.000 złr. na zasilanie kapitałem powstających kas Raiffeisenowskich.

Niewykluczoną rzeczą są także darowizny i subwencye, które fundusze spółki zasilać mogą, lecz się na nie, nie reflektuje.

Zyskiem spółki jest różnica między stopą procentową, którą płaci spółka od zaciągniętych pożyczek, względnie od udziałów

i wkładek oszczędności, a procentem, który od swoich dłużników pobiera.

Sprawami spółki zajmuje się: 1) Walne Zgromadzenie członków, 2) Rada nadzorcza, 3) Zarząd.

Zarząd składa się z kilku (5) członków i kasyera, wybranych przez Walne Zgromadzenie. Wszyscy z wyjątkiem kasyera, który prowadzi rachunki, urzędują bezpłatnie. Zarząd udziela pożyczek, przyjmuje wkładki oszczędności, zaciąga pożyczki, ściąga wierzytelności, składa Radzie Nadzorczej sprawozdanie z czynności i bilans obrotów kasowych.

Rada Nadzorcza z tyluż członków kontroluje czynności zarządu, szkontruje kasę, sprawdza bilans i przedkłada go Walnemu Zgromadzeniu.

Walne Zgromadzenie udziela absolutoryum — wybiera Zarząd i Radę Nadzorczą, ustanawia stopę procentową, wogóle decyduje o wszystkich sprawach spółki.

Szerszy zakres działania powołanych do Zarządu spółki czynników określa dokładnie statut wzorowy, który interesowanym Wydział krajowy lub Zarząd Kółek rolniczych udzielić może.

Pojedyncze spółki łączą się w Związki, a jak u nas projektowano, podlegać będą Wydziałowi krajowemu, jako Patronatowi spółek, którego zadaniem dbać o rozwój spółek i popierać skutecznie ich interesa.

Znający smutne stosunki wsi naszych przyznać musi, że powołanie do życia kas Raiffeisenowskich byłoby dla naszej ludności wiejskiej dobrodziejstwem; wydarłoby bowiem chłopa naszego z rąk lichwiarzy, dając mu w miejscu kredyt zdrowy, bo łatwy i tani, wpłynęłoby na podniesienie gospodarstwa, umożliwiając zapomocą taniej a dogodnej pożyczki czy pomnożenie inwentarza żywego, czy kupno maszyny gospodarczej, czy melioracyę gruntu, czy wreszcie kupno kawałka ziemi. Dodać tu trzeba, że spółki Raiffeisenowskie wzmogłszy się na siłach, obejmują i inne pola działalności ekonomicznej, a mianowicie pośredniczą w zbyciu płodów rolnych, w zakupnie nasion, maszyn, nawozów, w kupnie gruntów i t. p., oddając swoim członkom nieocenione usługi.

Dla dobra kraju, dla dobra ludu życzyćby sobie wypadało, aby przynajmniej każda parafia, jeżeli już nie każda wieś, posiadała własną kasę Raiffeisenowską, więc do dzieła ludzie dobrej woli — przyjaciele ludu!

Podnosząc lud ekonomicznie, podniesiemy go moralnie, bo nędza złym jest doradzcą; chłop nieuciskany lichwą, chłop ekonomicznie niezależny, nie łatwo da się unieść choćby najsłodszym

słówkom wysłańców radykalizmu, a przyjacielem swoim uzna tego, co mu wskazał drogę i dopomógł do dobrobytu.

Kto dla ludu pracuje — tego lud!

F. G.

Polacy na obczyźnie.

Stany Zjednoczone Północnej Ameryki. Z za oceanu nadchodzi smutna wiadomość, że między ludnością polską w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki zaczyna się szerzyć „baptyzm“, i że sekta ta znajduje dość zwolenników.

Jeszcze w roku 1897 czyli przed dwoma laty pojawił się w Buffalo „Podręcznik dla użytku polsko-baptyskiego Kościoła“, wydany przez księży (naturalnie apostatów) P. N. Jakimowicza i Józefa Antoszewskiego.

Czytamy w tym podręczniku w nagłówku „Kto są Baptyści“, że ci nie odszczepili się (!) nigdy od Kościoła rzymsko-katolickiego, bo są wyznaniem pierwotnych chrześcijan (!), że już wówczas nie zgadzali się jako pierwsi chrześcijanie z formami i duchem monarchicznym kościołów narodowych, że wierzyli w prostotę form i w życie duchowe, że zawsze byli ludem wolnym, niepotrzebującym duchowych ojców i panów, aby panowali nad nimi, że w średnich wiekach nieprzyjaciele ich przezwali mianem Anabaptystów (powtórnie chrzczących), że każdy baptyski Kościół jest zborem (stowarzyszeniem) samorządnym, niepodlegającym władzy ani ograniczeniu jakiejkolwiek organizacyi i w całem tego słowa znaczeniu gminowładnym czynnikiem.

Podane są następnie wszystkie rozdziały Biblii i ważniejsze artykuły wiary oraz obszerniejsza wzmianka o chrzcie. Zasadą ich wiary jest, że ceremonia chrztu winna się zasadzać na zanurzeniu w wodę, a nie jedynie na polewaniu wodą i stosować się jedynie do takich tylko, którzy rozumieją, co robią, przystępując do jakiego wyznania, a nie niemowląt i dzieci, którzy pojęcia nie mają o tem, co się z nimi dzieje, a więc i chrzczone właściwie być zupełnie nie mogą.

Najciekawszą jest podana w końcu forma rządu kościelnego. Jej podstawa jest, że kościół nie jest władzą prawodawczą lecz wykonawczą, albowiem prawa już zostały ustanowione przez Chrystusa w Nowym Testamencie. Nadzór Kościoła nie ma być wykonany przez jednę osobę lub kilka osób, ale przez wszystkich je-

dnakowo. Większość głosów rozstrzyga. Kościół może wybrać radnych (komitet) do pewnych spraw i włożyć na nich obowiązki pewne, a radni są odpowiedzialni przed Kościołem czyli zborem, gminą. Kościół ma się trzymać daleko od łączności z władzą świecką, nie ma przyjmować szczególnej opieki rządu ani używać jego pomocy, zmuszającej kogo do wyznania wiary. Urzędnikami gminy baptyskiej są Pasterz (proboszcz) czyli „kaznodzieja“, „Biskup“, „Starszy“ do pouczania i kształcenia wiernych, Dyakon, aby miał staranie o chorych i ubogich członków gminy i pomagał Pasterzowi, Sekretarz do trzymania ksiąg i korespondencyi, Kasyer do spraw finansowych. Niema żadnego pierwszeństwa godności między Pasterzami — wszyscy są na równym stopniu wyższości. Wszystkie dostojeństwa płyną z wyboru.

Członek może być przyjęty do innego społeczeństwa baptyskiego kościoła przez list polecający lub przez proste opowiedzenie się. Pożądanem jest, aby „wszyscy, a szczególnie dostojnicy, żyli w małżeństwie“.

Taka jest mniej więcej główna treść owego podręcznika. Nie tu miejsce na zbijanie tych niezliczonych kłamstw i bałamuctw, jakie się w nim mieszczą.

Niedorzeczności „baptystów“ są tak śmieszne, że chyba ten, kto zupełnie nie zna katechizmu i dziejów Kościoła, może w nie uwierzyć. Ale widać, że i w Ameryce między Polakami dużo jest takich ignorantów, skoro „baptyzm“ ma między nimi swoich zwolenników.

W Buffalo N. Y. czynią tamtejsi Polacy starania celem zaprowadzenia nauki języka polskiego jako nadobowiązkowego w szkołach publicznych miejskich. Niektóre polskie pisma występują przeciw temu, gdyż sądzą, że w razie urzeczywistnienia tej myśli — istniejące obecnie szkoły polskie parafialne stracą na znaczeniu i wpływie, a publiczne szkoły przyczynią się raczej do zanglizowania dzieci polskich.

Brazylia. Ambasadorem austro-węgierskim w Rio Janeiro mianowany został Polak p. Kuczyński, dotychczasowy minister-rezydent w Czarnogórze. Jest nadzieja, że licznie osiedli Polacy w południowej Brazylii znajdą w nim gorliwego opiekuna.

Stan Parana i sąsiednie stany. Jak donoszą z Kurytyby, przybywają z Europy prawie co tydzień gromadki naszych wychodźców i rozpraszają się po koloniach.

W okolicach Porto Uniao nad Iguassu zakłada inżynier miejski Baronsini, pełnomocnik senatora Teixeira, w olbrzymich dobrach tegoż nową kolonię polską „Villa Zulmira“ na następujących zasadach: chłop kolonista otrzymuje na własność 10 morgów ziemi,

dom, narzędzia rolnicze, a nadto dwuletnie utrzymanie — w zamian za to ma kolonista pracować przez te dwa lata po trzy dni w tygodniu na gruntach senatora. W ten sposób przyszedł właściciel łatwym sposobem do robotnika w dziewiczych lasach. Gdyby istniało polskie Towarzystwo kolonizacyjne, rodacy nasi nie potrzebowaliby zaprzedawać się w zależnosć.

W Kurytybie odbyło się dnia 2 grudnia z. r. w katedralnym kościele solenne nabożeństwo z powodu jubileuszu cesarza Franciszka Józefa I. Celebrował ks. Niebieszczański, proboszcz parafii polskiej Abranches w asystencyi ks. Kalinowskiego i ks. Alberta. Na nabożeństwie były obecne władze parańskie i cały korpus konsularny.

W Rio Negro istnieje od niedawna Kolegium amerykańsko-europejskie, w którem uczą również języka polskiego. Dyrektorem jest ks. Prałat Bronikowski.

Australia. W Nowej Zelandyi znajduje się kilka małych kolonii polskich. W parafii Stradford żyje 63 rodzin polskich, pochodzących z Prus zachodnich, w Inglenvod około 70 rodzin. Zajmują się one rolnictwem. W Masterton koło Welingtonu znajduje się 16 rodzin polskich, na południowej wyspie z Hobitika 7, a koło Christchurch 40 rodzin polskich. Koloniści uskarżają się na brak kapłanów narodowości polskiej.

Inne kraje. W Essen (Niemcy) odbył się w połowie grudnia r. z. wiec polski. Uchwalono poczynić odpowiednie kroki celem uzyskania opieki duchowej w ojczystym języku.

W Thale (w Saksonii) uskarżają się na brak księdza władającego językiem polskim.

W Bukareszcie (Rumunia) założone zostało Towarzystwo „Szkoły polskiej“, które już otworzyło szkołę polską. *(Z gaz. h. geogr.).*

Przełom w ruchu ludowym.

Znamienny fakt zaszedł w początkach bież. roku. Nasz lud poczyna przychodzić do rozwagi i coraz więcej przekonuje się, że obecne rozdzielenie się stanu włościańskiego na liczne stronnictwa i grupy do niczego nie doprowadzi, a wzajemna walka redaktorów pism ludowych nie przynosi ludowi żadnego pożytku i szkodzi tylko oświacie.

Takie przejrzenie powinno było nastąpić już dawno, lepiej jednak choć później się stało, niż gdyby owo zaślepienie miało trwać jeszcze dłużej.

Pierwsi wystąpili z publiczną odezwą w *Obronie ludu* włościanie z powiatu jarosławskiego; snać najmądrzejsi, i w tej odezwie wyraźnie powiadają, że im bardzo przykro i bolesno, iż „gazety ludowe zamiast nawoływać do jedności i zgody, najczęściej pomiędzy sobą się wadzą — przez co sprawa ludowa zamiast rosnąć, upada, a nieprzyjaciele się cieszą, patrząc na to, jak stronnictwa ludowe żrą się nawzajem i kłócą“.

„Dość tej walki“, wołają dalej, „dość wojny, a gdy chcą wojny nasi posłowie i dotychczasowi przywódcy, to niech sobie walczą. Lud musi przeciwko temu wystąpić i silnie zaprotestować. Nam włościanom potrzeba zgody i jedności, aby wspólnemi siłami się bronić. Zgoda i jedność muszą zapanować między włościanami i stronnictwami w całym kraju“.

„Aby więc kłótnię zgodzić i wojnę domową usunąć raz na zawsze i zjednoczyć cały lud w jedno wielkie stronnictwo potężne, trzeba się włościanom samym do tego zabrać, pojednać ze soba redaktorów, posłów i przyjaciół ludu, bo gdy oni z sobą jedność tworzyć będą, to sprawa ludowa odniesie świetne zwycięstwo“.

W tym celu nawołują jarosławscy wieśniacy do urządzenia wielkiego wiecu ludowego, na którymby posłowie wszystkich stronnictw, posłowie i najdzielniejsi włościanie z każdego powiatu uradzili, co dla dobra sprawy ludowej jest potrzebne.

Całkiem podobną odezwę podał *Związek chłopski*, podpisaną również przez wielu włościan z tegoż stronnictwa. I tu skarżą się wieśniacy na rozdwojenie pośród ludu, pośród posłów włościańskich i redaktorów, i powiadają, że więcej patrzeć nie mogą na podobne rozterki i sytuacyę polityczną i ekonomiczną.

Więc, dzięki Bogu, nareszcie po tylu latach zaślepienia spada naszemu ludowi łuska z oczu, i ten lud widzi, że z tej całej walki nie ma żadnej korzyści ani moralnej ani materyalnej, a żal zato czuje w pierwszym rzędzie do swoich opiekunów, których dotąd uwielbiał i szedł na ich skinienie na ślepo, nie pytając się, czy dobrze czy źle robi, czy ci przyjaciele dobrze i szczerze, czy obłudnie i źle mu życzą.

Dotąd chlubił się wieśniak przed wieśniakiem, że ten do tego, ten do owego stronnictwa należy, jeden wychwalał swoje stronnictwo i pisma, drugi swoje, i o zgodzie ani mowy być nie mogło, bo wzajemną zawiść i niezgodę podsycały same pisemka. Walka, najczęściej osobista, nie o zasady, pomiędzy redaktorami, przeniosła się między lud i rozdzieliła go na wrogie stronnictwa.

Było to do przewidzenia, że kiedyś ten lud przejrzeć musi, bo trzeba chyba nie mieć żadnego rozsądku, aby nie poznać, jak

szkodliwe było i jest dla niego owo rozdzielanie się na kilka stronnictw, i jak go bałamucą różni opiekunowie.

Że się to stało teraz, właśnie w chwili, kiedy niektórzy jego przywódcy stanęli u szczytu swych marzeń, to tem lepiej dla ludu, bo jeszcze może się zwrócić z drogi, na którą go popchnięto, i zacząć poważnie nad sobą pracować.

I jeżeli lud sam o sobie myśleć zacznie, nie słuchając we wszystkiem swych przyjaciół, to dojdzie do czegoś, gdy atoli odda tę sprawę do rozstrzygnięcia swym opiekunom, to wątpić się godzi, czy będzie co z tego, gdyż żaden zapewne czy to z posłów, czy z redaktorów nie zechce ustąpić na rzecz drugiego, a tak walka dalej trwać może i będzie, dopóki lud całkiem się z ich jarzma nie uwolni i podziękuje im za opiekę.

Żale ludu skierowane są głównie przeciw pismom, które lud rozpolitykowały i zasiały po wsiach niezgodę. Dobra to więc sposobność do wykazania ludowi, jak błędną dotąd szedł drogą — o czem powinni pamiętać i skorzystać z tej chwili wszyscy życzliwi ludowi, a pragnący poprowadzić ten ruch w kierunku katolicko-demokratycznym.

Prawdopodobnem jest, że z obecnych stronnictw ludowych nie da się utworzyć jedno stronnictwo, czego tak gorąco pragną wieśniacy, ale możeby się dało stworzyć takie stronnictwo na nowych zupełnie podstawach i pod innem kierownictwem. Rzecz to godna zastanowienia.



Niepotrzebna konkurencya w naszej prasie ludowej.

Powiadają, że nasz lud jeszcze bardzo ciemny, że do czytania ochoty nie ma, a tu tymczasem prawie co tydzień powstaje nowe jakieś pismo ludowe, obiecujące więcej od drugiego.

W ostatnich czasach obok dawnych, powstał *Krzyż*, potem *Obrona ludu*, a oto donoszą, że ma się zjawić, czy może już się zjawił nowy opiekun pod nazwą *Przeglądu ludowego*. Chyba więc nasz lud garnie się codzień tysiącami do czytania pisemek, skoro one rosną jak grzyby po deszczu.

Takby się zdawać mogło nieznającemu stosunki galicyjskie; kto je atoli zna, ten rusza nad tem zjawiskiem ramionami, bo chociaż prawdą jest, że czytelnictwo po wsiach wzrasta, to jednak nie w tej mierze, w jakiej mnożą się pisma. Ztąd wynika, że żadne z naszych pism ludowych nie może sobie zdobyć tak poważnej liczby czytelników, jaką mają pisma ludowe na Śląsku pruskim

lub w Poznańskiem, a że każde nowsze pismo stara się dawniejsze prześcignąć w obietnicach, przez to więc lud coraz więcej bywa bałamucony, tak, że sam nie wie, kogo słuchać, za kim iść.

Pominąwszy *Wieńca*, *Pszczółkę* i *Przyjaciela ludu*, które istotnie cieszą się stosunkowo największą poczytnością z wiadomych powodów, reszta pism ledwo dycha, a niejedne po kilkomiesięcznem istnieniu upadły, bo upaść musiały z braku czytelników.

I nie trzeba się temu dziwić, gdyż wieśniaka naszego nie stać na prenumerowanie kilku pisemek, nie czuje on zresztą tego potrzeby, dlań wystarczy jedno pismo.

Wobec tego należało ze strony katolików i przyjaciół społecznego ładu, poprzeć pisma już istniejące, a nie zakładać nowych. U nas atoli tego nie chcą zrozumieć; dla dawniejszych pism, choć dobrych, funduszów nie mają, ale mają je na nowe wydawnictwa, które puszczają w świat, robiąc konkurencyę starszym pismom, przez co same nie wiele zyskują i rozbijają własny obóz i włościan na małe oboziki.

Jasna rzecz, iż przez takie rozdrabnianie sił oświacie się nie przysłuża i jedno silne stronnictwo, przeciwne stronnictwu rozkładowemu, złożyć się nie da.

Ludowcy mają jeden tylko organ i dlatego są silni; stronnictwo chrześcijańsko-ludowe ma już obecnie dwa organy, bo pisma ks. Stojałowskiego i *Obronę ludu*, przez co się zaczyna osłabiać, a jeżeli jeszcze przybędzie *Przegląd ludowy* — to rozpadnie się na trzy części.

Po drugiej zaś stronie jest pism kilka, prawie, że nie kilkanaście, żadne atoli z nich nie mogło utworzyć i nie utworzy silniejszej partyi, bo każde nowsze szkodzi starszemu.

Do tego przybywa jeszcze i ta okoliczność, że u nas nie zważa się na treść pisma, na jego udolność, tylko więcej na osoby. Jeżeli za pismem kryją się możne lub wysoko postawione figury, to się pismo prenumeruje, choć po cichu mówi niejeden, że szkoda na nie grosza. Pisma choćby najlepiej redagowanego dla ludu i prawdziwie pouczającego, nie popiera się, bo go nie wydaje spółka panów, lecz jakiś tam zwykły śmiertelnik.

Więc nawet i na tem polu, gdzie chodzi o oświatę ludu, niema się względu na pożyteczność pisma, ale na osoby wydawców, a herb szlachecki ma urok i dla tych, co z ludu wyszli, i po cichu mówią, że trzeba iść z ludem, a nie ze szlachtą.

Tak robią jedni, a drudzy, aby zbytnio kieszeni nie nadwerężać, prenumerują dla ludu co najwyżej jedno pismo, za to zaś dają wieśniakom do czytania g a z e t y c o d z i e n n e, przez co my-

ślą sobie, będzie wilk syty i owca cała. Czytelnictwo się popiera, a wydatków mniej.

Jak pojmuje lud niektóre artykuły i wyrażenia dzienników, to był tego dowód przy jednym z procesów o rozruchy przeciwżydowskie, prowadzonym w Krakowie. W *Głosie Narodu* była przedtem w czasie rozruchów wzmianka, że lud koło Sącza opowiada sobie bajkę, iż nadeszło od Cesarza pozwolenie na bicie i rabowanie żydów.

Jeden z robotników przeczytawszy to w *Głosie Narodu*, wziął to za rzeczywiste pozwolenie, jak sam potem przy rozprawie zeznał, a wierzył w to tem bardziej, że była na gazecie „pieczątka urzędowa“ t. j. zwykły stempel dziennikarski, i tak czytanie dziennika, nie zastósowanego do jego pojęcia, pchnęło go do gwałtu, a potem zaprowadziło do więzienia.

Ponadto, w dzienniku przeznaczonym dla sfer inteligentnych, znajdują się rzeczy, o których wieśniak wiedzieć nie powinien, jeżeli się chce, by pozostał ze swego stanu zadowolony i jeżeli się nie chce odbierać mu szczęścia z tego zadowolenia. Bywają tam także często i takie rzeczy, które łatwo mogą podkopać u wieśniaka wiarę, i osłabić lub obalić moralność, bo nie rozumiejąc dobrze znaczenia słów, gotów sobie niejeden przewrotnie wytłumaczyć.

A do tego wszystkiego trzeba i to dodać, że wieśniak otrzymując za darmo, jeżeli nie codzień, to choćby dwa lub trzy razy pismo codzienne do czytania, rozpolitykuje się jeszcze więcej, i więcej obchodzić go będzie sprawa Dreyfusa, niż jego własny kraj, własna gmina i własne gospodarstwo.

Oczywista, że wieśniak czytając częściej w tygodniu i to za darmo dziennik, traci gust do czytania pisma ludowego, rzadziej w miesiącu wychodzącego, bo te wiadomości, które podaje pismo ludowe, on już wyczytał dawno w dzienniku, a przez to traci na tem wiele prasa ludowa.

Nie piszemy tego ani przeciw sobie, ani *pro domo sua* — bo nasz *Pielgrzym polski*, jak to widoczne, i treścią swą i ceną nie jest pismem ludowem, lecz dla sfer szerszych przeznaczonem, a *Nowy Dzwonek* nie mieszając się wcale do polityki i agitacyi, i umieszczając tylko powiastki i artykuły naukowe, wcale konkurencyi innym pismom nie robi i nie szkodzi im. Szkodzą im atoli, jak powiedzieliśmy, te coraz nowsze pisma, które co chwila się zjawiają i wywołują niepotrzebną konkurencyę.

Stajemy tu tylko w obronie pism starszych, które mają za sobą już kilkuletnią przeszłość, jako tako się zasłużyły koło sprawy ludowej i wpływ poczęły zyskiwać. Te więc należało rozszerzać,

popierać materyalnie i moralnie, jeżeli istotnie chce się ludowi przysłużyć, a nie bałamucić go co trochę nowemi pismami.

Bojomir.

Katolicyzm w Brazylii.

Brazylia jest, jak wiadomo, państwem katolickiem t. j. że wszyscy jej mieszkańcy przyznają się do katolicyzmu z wyjątkiem pewnej części niemieckich kolonistów, zamieszkujących południowe strony państwa, i z wyjątkiem nieucywilizowanych jeszcze Indyan, przebywających w wnętrzu kraju, głównie w stanie Matto Grosso.

Inaczej jednak pokazuje się ten katolicyzm w rzeczywistości. Matto Grosso („Wielki las") jest największym z 21 stanów Brazylii, prawie 3 lub może 4 razy większy niż Włochy, liczy 200.000 mieszkańców, między nimi 130.000 katolikow (łącznie z nielicznymi już murzynami) i 70 do 80.000 pogańskich Indyan, którzy żyją rozprószeni w lasach dziewiczych. Jest to najbiedniejsza część Brazylii co do handlu i jego obrotu; brak jej rąk do pracy, a ospałość mieszkańców ma swoje źródło w gorącym klimacie i żyzności ziemi, która bez pracy plon dostateczny wydaje.

Owych 130.000 katolików i cywilizowanych uważać należy tylko z imienia za takich, bo nie mówiąc już nic o wielu zabobonnych zwyczajach, u nich zakorzenionych, żyje wiele rodzin, zwłaszcza w głębszych okolicach, zupełnie po pogańsku.

Większa część zna z religii tylko chrzest, a wielu zwykło odwiedzać kościół tylko dwa razy w całem życiu, t. j. przy chrzcie i przy ślubie.

Gdy mają wejść w związek małżeński, przedstawiają się osobiście kapłanowi, ale o artykułach Wiary św. nie mają żadnego pojęcia, czesto nie umieją nawet zrobić znaku Krzyża św.

Religijne praktyki, w których biorą udział mieszkańcy miast i większych osad, polegają na pompatycznych procesyach, w czasie których południowy Amerykanin sadzi się jeden nad drugiego, przy których spali się wiele ogni sztucznych, słucha się muzyki, patrzy się na różne widowiska, a ukończeniem bywa wspaniały bal. Ma to miejsce w dzień Zielonych Świątek, w dzień Niepokalanego Poczęcia Najśw. Panny i w dzień św. Benitusa.

W inne niedziele i święta widzi się po kościołach na Mszy św. nader mało osób, wystarczy powiedzieć, że w roku 1895 w Coyabá, stolicy Matto Grosso, mieście liczącem 20.000 mie-

szkańców (i to prawie samych katolików), przystąpiło do spowiedzi wielkanocnej zaledwie 3 mężczyzn i 40 kobiet.

Gdyby kto szukał przyczyny tego smutnego zjawiska, to ją znajdzie w nader wielkim braku kapłanów. Na 130.000 katolików, żyjących w rozprószeniu na przestrzeni 1,380.000 kwadratowych kilometrów, przypada zaledwie siedmiu kapłanów, z których dwóch znajduje się przy boku Biskupa w stolicy, a reszta siedzi po większych miastach, a i ci są to po większej części albo starcy, albo chorowici, tak, że raczej nie powinni być brani w rachubę. Wprawdzie w Coyabá istnieje coś nakształt seminaryum, które Biskup w r. 1876 założył i kilku alumnów przyjął, lecz z nader ważnych powodów nie mógł ich na kapłanów wyświęcić. W ciągu 22 lat mógł Biskup tylko jednego wyświęcić, a i ten przybył z innej dyecezyi. Niema też nadziei lepszej przyszłości bez pomocy z zewnątrz; przed dwoma laty było w seminaryum 18 alumnów, teraz jest ich pięciu, reszta ulotniła się.

Wreszcie po 10 latach prośby otrzymał Biskup kapłanów w osobach Salezyanów, którzy przybywszy na miejsce otworzyli kollegium i „oratorio festivo“, w którem w niedziele i święta zbierają się chłopcy i młodzież na nabożeństwo i nauki duchowne.

Salezyanie idą w tej pracy za słowami i zachętą swego założyciela ks. Bosco, który mawiał, że aby jaką miejscowość odrodzić, to najpotężniejszym na to środkiem są oratorya, gdzie młodzież bez przymusu i zupełnie swobodnie przyucza się do spełniania obowiązków chrześcijanina.

Od tego czasu wzrosło przyjmowanie Sakramentów św. tak pośród młodzieży jako i starszych, bo gdy, jak wyżej wspomniano, w roku 1895 tylko 3 mężczyzn wypełniło obowiązek spowiedzi wielkanocnej — to w r. 1897 było już takich mężczyzn 300.

Nadto utworzono misyę między pogańskimi Coroados'ami, nad których cywilizacyą rząd na próżno przez 18 lat pracował, a prezydent państwa nie mógł się nadziwić jej skutkowi.

Ruch chrześcijańsko-demokratyczny w Belgii

i podobny ruch u nas.

Nie od dzisiaj, ale od kilku już lat pragnie pewna część katolików belgijskich reformy socyalnej w duchu „chrześcijańsko-demokratycznym“, której opierają się wszelkiemi siłami katolicy z obozu „konserwatywnego“, dzierżący rządy kraju.

Obecnie dąży partya chrześcijańsko-demokratyczna do zaprowadzenia bezpośredniego i powszechnego głosowania i głosi, że jeżeli konserwatyści nie wejdą z nią w układy, to w tym razie zwróci się o pomoc nawet i do socyalistów.

Przywódcą stronnictwa „chrześcijańsko demokratycznego“ jest kapłan flamandzki X. Daens, znakomity agitator ludowy, którego rozkazów słucha lud belgijski z takiem samem, a może i większem zaufaniem, jak u nas X. Stojałowskiego.

W roku zeszłym polecił Biskup gandawski (nalegany do tego przez konserwatystów) X. Daensowi, by nie stawiał nadal swej kandydatury do Izby i by zaprzestał wszelkiej agitacyi politycznej. Pierwszemu z tych rozkazów X. Daens się poddał i nie wszedł wskutek tego do parlamentu; nie zastósował się jednak do drugiego rozkazu, prowadząc dalej agitacyę wśród oddanego mu ludu.

Wobec tego Biskup gandawski zakazał mu odprawiać Mszę św., a ks. Daens na to odpowiedział, że teraz widząc takie prześladowanie ze strony władzy kościelnej, pozostającej pod wpływem konserwatystów, rozpocznie na nowo swą dawną działalność parlamentarną i twierdzi, że władze kościelne nie mają prawa mięszania się do działalności księży w tym kierunku.

I właśnie skutek zakazów biskupich jest taki, że ks. Daens urósł w jednej chwili na wielkiego człowieka w oczach wszystkich przeciwników dawniejszego stronnictwa katolickiego.

Papież nie pomija na razie żadnej sposobności, aby nakłonić ks. Daensa do zjednoczenia się z konserwatywną partyą katolicką i poddania się władzy kościelnej; ale jak dotąd usiłowania Stolicy św. pozostają bez skutku, a ruch chrześcijańsko-demokratyczny zatacza coraz szersze kręgi.

Dziwny to zaiste znak czasu, że po niektórych katolickich krajach Europy równocześnie objawia się zwrot katolików do demokratyzmu, a ruchem tym kierują przeważnie księża, jak np. w Austryi i w Belgii.

Wiedeński kler stoi jak najwyraźniej po stronie chrześcijańsko-socyalnych demokratów i antysemitów, a i u nas w Galicyi podobny ruch się rozpoczął i część Duchowieństwa stanęła po jego stronie, grupując się jużto koło *Związku chłopskiego*, już też koło *Ruchu katolickiego* i stając w szeregach nowo-założonego stronnictwa katolicko-narodowego, którego organami ogłosiły się: *Ruch katolicki* i krakowska *Łączność* (dawniej *Grzmot*).

Co się tyczy *Związku chłopskiego* — to ten, wyjąwszy chwilowe umizgi do ludowców, chciałby może iść i działać w kierunku katolicko-demokratycznym, niema tam atoli zdolnej ręki, któraby umiała i potrafiła dzielnie nim kierować.

Nowe zaś stronnictwo „katolicko-narodowe“ zakreśliło sobie szerokie pole działania, bo chce objąć wszystkie warstwy narodu, a więc i szlachtę, i mieszczaństwo, Duchowieństwo i lud, lecz wątpić się godzi, czy mu się to uda, gdyż demokratyzm szlachty jest zawsze podejrzany, a zwłaszcza u tych panów, którzy to stronnictwo zawiązali, nie zrywając zupełnie z zaciętymi konserwatystami krakowskimi, co było koniecznem, a dla nich jest prawie niemożliwem.

Czy więc będzie z tej mąki chleb, czy ruch ten popłynie korytem katolickiego demokratyzmu, niosąc niezbędne reformy społeczne, czy też wtłoczy się w zamurszałe koryto konserwatyzmu, to przyszłość pokaże, w każdym atoli razie należałoby działać tak, aby jakaś zmiana na korzyść klas biednych nastąpiła, jeżeli się pragnie ukrócić agitacyę socyalistyczną i uniknąć katastrofy.



ROZMAITOŚCI.

Skutki kościelno-politycznych ustaw węgierskich nie są wcale pocieszające. I tak, według sprawozdania z r. 1896 zawarto w tym roku na Węgrzech 121 776 małżeństw, z czego tylko 109 955 kościelnych (50 507 rzymsko-katolickich, 14.602 grecko orjentalnych) na cywilne zaś małżeństwa przypada 11.834. Zdarzyły się też liczne zmiany wyznań mianowicie: z Kościoła rzymsko-katolickiego wystąpiło 787, wstąpiło 1206 (+ 429); z Kościoła grecko-katolick. wystąpiło 1019, wstąpiło 2557 (+ 1538); z Kościoła grecko orjent. wystąpiło 2600, wstąpiło 966 (— 1634); z luterskiego wystąpiło 783, wstąpiło 283 (— 450). Protestanci utracili nadto 2315 osób, które się ogłosiły bezwyznaniowemi. Najwięcej tedy dusz po Kościele grecko orjent. utracił protestantyzm. W całych Węgrzech było we wspomnianym roku 3990 bezwyznaniowców.

Jak mieszkają przewódcy socyalistów. Jedno z pism niemieckich tak opisuje willę „czerwonego Bebla“, sławnego jak wiadomo, przywódcy socyalistów niemieckich, a piorunującego dość często na bogaczów, którzy zamieszkują wspaniałe pałace. Willa Bebla leży w Szwajcaryi nad jeziorem Zurychskiem w uroczej okolicy. Jest to pałacyk o trzech piętrach, otoczony od frontu wspaniałym ogrodem poprzerzynanym szpalerem. Za willą znajduje się ulica z niezliczonemi winnicami najlepszych i najkosztowniejszych win. Wartość willi łącznie z ogrodem i winnicami taksują na milion marek.

Oryginalne zajęcia. W dziwaczności pomysłów, gdy idzie o zdobycie kawałka chleba, Anglia stanowczo przoduje wszystkim innym krajom. Najszczególniejszym z zawodów, jakim kiedykolwiek oddawały się kobiety, jest chyba tak zwana „*Dinner-taster*“ t. j. „Kosztująca obiady“. Wynalazczyni tego zajęcia spędza większą część dnia na wizytach w różnych domach, gdzie k o s z t u j e obiady. Tu da wskazówkę, tam coś sama przyprawi, owdzie podda kucharce nowy pomysł przyrządzenia potrawy, lub ozdobienia jej przy podawaniu. Że fach ten jest zyskowny, dowodem, iż pani „*dinner-taster*“ jeździ od domu do domu... własnym powozem.

Inna pomysłowa córka Ewy obrała sobie oryginalniejsze może jeszcze rzemiosło — oto „rozdeptuje“ nowe obuwie. Nosi buciki kilka dni, póki nie staną się zupełnie wygodnemi dla właścicielki. Zajęcie to nie jest tak lekkiem, jakby się wydawało, albowiem zdarza się niekiedy, że trzeba zmienić 36 par bucików dziennie.

Fałszowanie wina w Hegyalia. Jak donoszą z Szerencs, zarządził tamtejszy naczelnik sądu Stefan Pinter rewizyę piwnic firmy handlowej, Gutglass i Bendetz (żydów galicyjskich) w Mard. Przy rewizyi znaleziono wielką ilość win fałszowanych, które niesumienni handlarze wysyłali do Galicyi. Niech to będzie przestrogą dla amatorów win węgierskich.

Tołstoj o patryotyzmie. Znany aktor Lewinsky miał w ostatnich czasach dłuższą rozmowę z Tołstojem, z której zdaje sprawę w ostatnim numerze *Deutsche Rundschau*. Rozmowa toczyła się głównie około kwestyi patrotyzmu, które to uczucie uważa Tołstoj, jak wiadomo, za wielki *minus* w życiu ludzkości. „Nie posiadam żadnego patryotyzmu“, oświadczył Lewinsky'emu. Jest mi zupełnie obojętnem, co się stanie kiedyś z Rosyą lub z jakim innym narodem, gdyż to niema żadnego wpływu na „cel humanitarny“ tak, jak ja go rozumiem. Małe państwa są szczęśliwsze. W Holandyi już sześciu predykantów miewa kazania o militaryzmie w moim duchu... Chrześcianin nie może być żołnierzem. Patrotyzm wchodzi w kolizyę przeto z jego wiarą. Niedawno odbył się kongres socyalistów we Fryburgu i proponowano tam strejk jeneralny przeciw służbie wojskowej. Podniósł się wtedy Bebel i oświadczył, że Niemcy nie mogliby się na to zgodzić, ponieważ Francya wpadłaby zaraz do Alzacyi. Nie jest to droga, aby osiągnąć szczęście ludzkości... Porównałem niedawno Chiny do konia, który już otrzymał liczne rany. Przez długi czas bano się zbliżyć do zwierzęcia. Potem przyszedł pies, zwabiony przez krew, który się rzucił pierwszy na ranne zwierzę. Potem zbiegły się inne psy i rozszarpały go, chcąc uzyskać każdy dla siebie kawał mięsa“.

Najbogatszym człowiekiem świata jest — jak pokazuje się obecnie — Krezus nowojorski John de Rockefeller, król olejowy, któremu przepowiadają, że dojdzie do biliona majątku. Jego roczny dochód wynosi bagatelkę: 20,000.000 dolarów. Pan ten zgarnia latem 2 316·48 dolarów na godzinę. Karyerę swą rozpoczął Rockefeller jako buchhalter z płacą 50 dolarów miesięcznie! Żyje on obecnie w zupełnem odosobnieniu, jak cesarz chiński.

Co można znaleść w śmieciach. — W śmieciach Londynu znaleźli zamiatacze uliczni w czasie od 1 października 1897 do 1 października 1898 roku co następuje: 127 tysięcy 382 franków w monecie brzeczącej, 3550 franków w przekazach, 48.625 franków w papierach wartościowych angielskich, 125 tysięcy franków amerykańskich akcyj kolejowych, dalej 68 zegarków damskich, 6 mężkich, 212 pierścionków, 134 broszek, 618 bransoletek, 6 fałszywych szczęk (!), 98 lornetek i przeszło 18 tysięcy fotografii. — Tyle to nagubią ludzie w ruchliwej stolicy Anglii. Pieniądze i kosztowności zgubione przechowują się przez rok, a podobnież i... szczęki!

Stuletni starcy w Rosyi. Dokonany w roku zeszłym ogólny spis ludności w cesarstwie rosyjskim dowiódł, że w Rosyi znaczna bardzo liczba dochodzi do nader podeszłego wieku. W każdej gubernii bowiem — jak pisze „*Kijewlanin*“ znalazło się około 400 osób, liczących przeszło lat 100, są nawet starcy, którzy przeżyli półtora wieku. Obecnie do wszystkich tych osób rozsyłane są kwestyonaryusze, zawierające szereg zapytań, co do warunków ich życia, sposobu odżywiania się, rodzaju zajęcia i tp. czyników, które mogły wpłynąć na tak niezwykłą długowieczność.

W trzech dniach do Ameryki. Podróż z Europy do Ameryki będzie można na przyszłość odbywać nie w ciągu sześciu dni, jak dotychczas, ale, jak utrzymuje wynalazca nowego parowca p. Puniton w Pensylwanii, w ciągu trzech dni. Statek jego systemu ma być opatrzony dwudziestoma śrubami, umieszczonemi w różnych odstępach na bokach, przez co działanie ich będzie o wiele skuteczniejsze, a oprócz tego będą one zużytkowały ginącą dotychczas i bezpożytecznie siłę maszyny parowej. Rozmieszczenie śrub dokoła statku przyczyni się do utrzymania równowagi i nie pozwoli falom rzucać statkiem, a nadto daje mu tę wyższość, że uszkodzenie lub złamanie śruby nie wpłynie zupełnie na prawidłowy jego bieg. Wynalazek ten najnowszy będzie poddany próbom w Anglii i w Ameryce.

Co jest w człowieku? Trochę dobrego i dużo złego, wedle zdania moralistów: ni mniej, ni więcej, jak w kurzem jajku — powiadają chemicy. Jeden z nich, ma się rozumieć Niemiec, (bo któżby inny chciał sobie tyle trudu zadawać?), na podstawie czynionych

doświadczeń, twierdzi, że wszystkie części składowe człowieka, przeciętnej wagi 68 kilogr., znajdują się w białku i żółtku 1.200 jaj. Człowiek, zamieniony w stan płynny, dostarczyłby 9,8 metrów kubicznych kwasu węglowego i dostateczną ilość wodoworu do napełnienia balonu o sile wzlotu 70 klgr. W stanie normalnym człowiek zawiera tyle żelaza, że możnaby z niego wyrobić 7 dużych gwoździ; tyle tłuszczu, że starczyłoby go na 6 1/2 kilogr. świec; z fosforu, w nim zawartego, możnaby rozniecić 820.000 zapałek. Wreszcie do tych ingredyencyj należy dodać: 20 łyżek kawowych soli, 50 kawałków cukru i 42 litrów wody.

Jednem słowem każdy człowiek jest sklepikiem korzennym na małą skalę.

Wystawa kotów została otwarta dnia 4 stycznia b. r. w Nowym Yorku. Nadesłano na nią ogółem przeszło 1 000 sztuk tych zwierząt, a są między niemi bardzo drogocenne okazy.

Najpiękniejszym jest kot „King Tab“ nadesłany z Francyi, oszacowany na 1.000 funtów szterlingów (10.000 rubli), dalej następuje „Black Agnes“ z Holandyi (200 funtów szterlingów) i prawdziwy kot syamski, za którego lubownicy kotów ofiarowują 100 funtów szterlingów.

Na wystawie znajduje się także kot „Cervera“, znaleziony na pokładzie krzyżowca „Cristobal Colon“ po bitwie pod Santiago.

Niezmierne skarby w morzu. Woda morska, jak stwierdziły najnowsze doświadczenia, zawiera w sobie złoto, a mianowicie jeden metr kubiczny wody ma 6 miligramów złota. Otóż jakiś uczony wyrachował, że w wszystkich morzach naszej kuli ziemskiej znajduje się złota za 7500 bilionów marek. Jeżeliby to złoto podzielono równo między wszystkich ludzi na ziemi, których obliczają 1600 milionów, każdy pojedynczy człowiek otrzymałby przeszło 4 miliony marek. Oprócz złota znajduje się we wodzie morskiej srebro, które obliczają na 66 bilionów, z których znowu przy podziale każdy człowiek otrzymałby 400 tysięcy. Nie zabrakłoby tedy złota i srebra dla nikogo, sęk tylko w tem, jak je wydobyć z wody morskiej.

Kat Paryża czyli t. zw. *monsieur de Paris*, Deibler, po 20 letniej działalności, otrzymał dymisyę na własne żądanie. Przez czas swego urzędowania dokonał 52 ścięć, na które państwo wydało 1 1/4 mil. fr. Następcą Deiblera będzie syn jego i dotychczasowy pomocnik Anatol.

Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.